Nr. 8. Lwów. — Niedziela dnia 11. Stycznia. **Rok 1885.**

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.

Cena Prenumeraty:

We Lwowie bez dostawy:		Na prowincji z przesyłką pocztową:	
Miesięcznie	1 złr. 50 ct.	Miesięcznie	2 złr.
Kwartalnie	4 „ 50 „	Kwartalnie	6 „
Półrocznie	9 „ — „	Półrocznie	12 „
Rocznie	18 „ — „	Rocznie	24 „

Za dostawę do domu miesięcznie 25 centów.

Numer kosztuje 10 centów.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Prenumeratę i ogłoszenia przyjmują:
WE LWOWIE: Administracja *Przeglądu* ul. Jagiellońska l. 3.
W KRAKOWIE: Filja Redakcji i Administracji *Przeglądu*, ul. Senacka L. 9., jakoteż Księgarnia Krzyżanowskiego w Rynku.
W WIEDNIU. *Prenumeratę*: Zeitungsbureau Goldschmiedt (I Wollzeile Nr. 6). — *Ogłoszenia*: G. L. Daube et Comp. Singerstrasse 11. — M. Dukes, Schulerstrasse 1—3. — Haasenstein et Vogler, Wallfischgasse 10. — Moritz Stern, Wollzeile 22. — Alois Herndl, Schulerstrasse 14. — Rudolf Mosse, Seilerstädte 2.
OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą **10** centów od wiersza petitowego za pierwszy raz. a **5** centów za każdy raz następny.
NADESŁANE w cenie **30** centów od wiersza.
Rękopismów Redakcja nie zwraca.

Dziś: D. 1. p. 3. Król. Hig. Jutro: Arkadj. M., Honor. F. | Wschód słońca g. 7 m. 54 Zachód „ g. 4 m. 22 | Długość dnia g. 8 m. 28 Przybyło „ o 3 minuty

Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski

Adres Redakcji: — Gmach teatralny Nr. 7. I. piętro.
Adres Administracji: — Ulica Jagiellońska L. 3.

Zaproszenie do Przedpłaty.

W celu uregulowania nakładu upraszamy o wczesne nadsyłanie przedpłaty, najlepiej w przekazach pocztowych.

Przedpłata wynosi:

We Lwowie i w Krakowie:		*Na prowincji:*
Miesięcznie	1 złr. 50 ct.	— 2 złr.
Kwartalnie	4 „ 50 „	— 6 „
Półrocznie	9 „ — „	— 12 „
Rocznie	18 „ — „	— 24 „

Przedpłatę przyjmują:

We Lwowie: Administracja *Przeglądu* (ulica Jagiellońska l. 3). — W Krakowie: Filja Administracji *Przeglądu* (ulica Senacka l. 9).

Przegląd posiada **własny drut telegraficzny**, przeto wyprzedza wszystkie lwowskie pisma w depeszach, a co tygodnia do niedzielnego numeru dołączać będzie **literacki dodatek**, złożony z małych nowelek i lekkich prac literackich.

Przegląd polityczny.

Wskutek śmierci cieszyńskiego posła do Rady państwa, odbyły się onegdaj w tym mieście uzupełniające wybory, w których, na 1834 uprawnionych do głosowania, stanęło do urny 805 osób. Z nich 757 oddało swe głosy adwokatowi dr. Knabowi, 22 kartki były bez nazwiska, a reszta głosów padła na kilku innych obywateli, którzy nie kandydowali.

Czernowitzer Ztg. ogłasza rozpisanie nowych wyborów do bukowińskiej Izby handlowo-przemysłowej. Ostatni termin do nadsyłania kart z głosami naznaczono na dzień 13. lutego, zaś do obliczenia skrytunium 19. lutego.

Jak już wiadomo czytelnikom naszym z telegramu podanego we wczorajszym numerze *Przeglądu*, odrzucił najwyższy Trybunał administracyjny rekurs gminy Reichenberg, wniesiony przeciwko rozporządzeniu ministerjalnemu w sprawie utworzenia ludowej szkoły czeskiej. Rozprawa odbyła się dnia 8. b. m.; referent, radca dworu v. Stransky, w następujący sposób popierał orzeczenie ministerstwa z dnia 19. sierpnia r. z.

Utworzenie odrębnej szkoły ludowej w Reichenbergu z wykładowym językiem czeskim opiera się na §. 1. czeskiej ustawy szkolnej krajowej i jest wynikiem istotnej potrzeby, albowiem gmina Reichenberg liczy 177 dzieci obowiązanych do nauki, a posługujących się mową czeską, jako rodzinną. W zażaleniu swojem oparła się gmina Reichenberg na §. 59. ustawy szkolnej państwowej i §. 1. ustawy szkolnej krajowej czeskiej, które zgodnie orzekają, że szkoła, w której wykładowym językiem ma być drugi język krajowy, powinna być założona w takim tylko razie, jeśli jej potrzeba nie będzie ulegała żadnej wątpliwości. Tak właśnie ma się rzecz w niniejszym wypadku. Dzieci czeskie w Reichenbergu muszą teraz prawie pół mili przebiegać codziennie, aby dostać się do szkoły.

Zastępca gminy Reichenberg dr. Kneifl podniósł zarzut, iż podana przez referenta przeciętna frekwencja szkoły czeskiej nie została skonstatowana i polega jedynie na teoretycznem przypuszczeniu. Sama potrzeba nie może tu być uważana za rozstrzygający moment prawny i w takim bowiem razie mogliby się domagać także Czesi we Wiedniu założenia szkół ludowych z wykładowym językiem czeskim.

Referent ministerjalny vice-sekretarz dr. Hye zaznaczył przedewszystkiem, iż gdzie chodzi nie o utworzenie nowej lecz tylko drugiej szkoły, prawo nie daje ścisłych postanowień. Mowca odesłał stronę skarżącą do art. 19 ust. państw., poczem najwyższy Trybunał pod przewodnictwem hr. Belcrediego udał się na krótką naradę. Wynik jej wiadomy, a motywa jakie skłoniły Trybunał do odrzucenia rekursu gminy Reichenberg, są zgodne z wywodami referenta.

Partja narodowa, tworząca większość w kroackim Sejmie, uchwaliła na zgromadzeniu klubowem postawić wniosek o zamknięcie dyskusji w sprawie regnikolarnej, jeśli starczewiczanie swem niewłaściwem zachowaniem się będą i nadal przeszkadzali obradom.

W Rjece (Fiume), będącej kością niezgody między Węgrami a Kroatami, przyszło do pospolitej bójki między konwedami a żołnierzami pułku złożonego przeważnie z Kroatów. Ten wypadek sam przez się nie mający politycznego znaczenia i świadczący co najwięcej o braku dyscypliny, posłużył *Pester Lloydowi* do wystąpienia z żądaniem, aby choć raz już przecież zaniechano wszelkich układów z Kroacją o port fiumski i przyłączono to miasto do właściwych Węgier, pomijając w ten sposób pretensje Kroatów do jedynego przy Adrjatyckiem morzu portu, należącego do Zalitawji. W tym wypadku *Pester Lloyd* postąpił za gorąco, bo jako organ gabinetu p. Tiszy, nie powinien był dać powodu do mniemania, iż Węgrzy mają zamiar zabrać Rjekę, nie oglądając się na przyszłą w tej sprawie uchwałę regnikolarnej komisji. Artykuł *Pester Lloydu* będzie wodą na młyn starczewiczanów.

W Peszcie odbył się onegdaj pojedynek między synem byłego ministra spraw zagranicznych, hr. Teodorem Andrassy a baronem Belą Aeselem. Obaj pojedynkujący się zostali ranni. W wypadku tym szukają jakichś politycznych przyczyn.

W dziennikach niemieckich obiega dotąd pogłoska, iż stanowisko dyrektora w departamencie spraw zagranicznych powierzonem zostanie hr. Herbertowi Bismarkowi. Wieść ta wedle *Hamb. Corresp.* jest jednakże zupełnie bezpodstawną. Jeżeli syn kanclerza wstąpi do departamentu spraw zagranicznych, obejmie niezawodnie funkcje, które obecnie spełnia podsekretarz stanu dr. Busch, a dotychczasowy kierownik spraw kolonialnych v. Kusseroff otrzymałby ewentualnie utworzyć się mający nowy urząd dyrektora w ministerium spraw zagranicznych. D-rowi Buschowi powierzoną zostanie natomiast ambasada w jednem z państw wschodniej Europy, mianowicie zaś — wedle najlepszych domniemań, w Rumunji lub w Grecji.

Projekt deklaracyjny rządu niemieckiego — t. zw. punkt trzeci — dotyczący formalności, które przy obejmowaniu w posiadanie obszarów ziem na wybrzeżu afrykańskiem powinny być dopełniane, brzmi jak następuje:

„Zgromadzeni na konferencji pełnomocnicy Niemiec, Austro-Węgier, Belgji, Danji, Hiszpanji, Stanów Zjednoczonych Ameryki, Francji, Wielkiej Brytanji, Włoch, Niederlandji, Portugalji, Rosji, Szwecji i Norwegji, Turcji, przekonani, że korzystnem by było przyjęcie stałej, pewnej zasady w międzynarodowych stosunkach przy ewentualnem obejmowaniu nowych posiadłości na wybrzeżach Afryki, następujące powzięli uchwały: Każde państwo, obejmujące w posiadanie lub pod opiekę bądź oddzielną część kraju, bądź też pojedynczą miejscowość po za obrębem dotychczasowych posiadłości kolonjalnych leżącą, winno równocześnie zawiadomić państwa, na niniejszej konferencji reprezentowane, aby takowe były w możności zakomunikowany fakt uznać za spełniony, lub też w danym razie przeciwko niemu w czas zaprotestować. Pomienione państwa zobowiązują się, w objętych przez siebie krajach i miejscowościach kolonjalnych zaprowadzić i utrzymać sądownictwo, któreby stało na straży pokoju, ustanowionych praw i warunków, pod jakiemi wolność handlu i komunikacji została zagwarantowaną. Rządy podpisanych przedstawicieli zawiadomią o powyższych uchwałach te państwa, które w konferencji nie wzięły udziału, i uproszą je, aby wzmiankowane postanowienie i ze swej strony za prawomocne uznały.“

Jako monarchę przyszłego państwa Kongo wymieniają obecnie księcia Filipa Sachsen-Koburg, zięcia króla belgijskiego. Książę Filip urodzony w r. 1844, jest generałem Honwedów. Dodać jednakże wypada, że propozycja monarchicznych rządów w Kongo nie ze wszystkiem pomyślnego doznała poparcia u niektórych przedstawicieli państw, zebranych na konferencji w Berlinie.

Przedwstępne rokowania rządu francuskiego z resztą państw w sprawie Egiptu, osiągnęły pomyślny rezultat, gdyż z Paryża donoszą, iż gabinet Ferry'ego zredagował już odpowiedź, której ma udzielić Anglji na jej propozycje, dotyczące kwestji egipskiej.

Na poniedziałkowem posiedzeniu ministrów w pałacu Elizejskim rozwijał nowy minister wojny plan organizacji korpusu eksepedycyjnego do Tonkinu. Admirał Peyron zapewnił, że wynajęte dla transportu 6.000 wojska do Tonkinu 4 okręty: „Caenar“, „Provence“, „France“ i „Béarn“ będą najdalej do 10. stycznia gotowe w Tulonie do podróży. Już więc 15. stycznia mogłyby z wojskiem, końmi i zwierzętami jucznemi z Tulonu wypłynąć. Dalszy transport 6.000 wojska posiłkowego będzie mógł być wysłanym z początku lutego. Tirard oświadczył, że nie może jeszcze dokładnie oznaczyć, jaki jest rezultat wpływu podatków z miesiąca grudnia, że jednakże rezultat ten przewyższy o 8 milionów dochód podatkowy z grudnia poprzedniego roku, a o 4 miliony preliminarz budżetowy.

Voltaire zaprzecza w oficjalnej nocie, jakoby minister marynarki, admirał Peyron. miał zamiar ustąpić. Bezpodstawną jest również wieść o odebraniu spraw kolonialnych ministerjum marynarki, a przydzielenie ich do ministerjum handlu. Naczelne dowództwo ekspedycji tonkińskiej, pozostaje przy ministrze marynarki, rozkazy tylko dla jenerała Brière mają być udzielane po wspólnej naradzie admirała Peyrona z jenerałem Levalem.

Zgon ks. Auersperga dał pochop prasie do dość poważnych refleksyj na temat rządów lewicy i powodów, które wytrąciły ster państwa z jej rąk, a oddały go w ręce dzisiejszego gabinetu.

Powody te są wszem znane, bo za nadto świeżo tkwią jeszcze w pamięci współczesnych. Ale jest w nich pewien podkład zasadniczy, na który warto zwrócić uwagę, bo może służyć jako przestroga.

Lewica upadła, gdyż zdradziła nietyle może brak uczuć dynastycznych, — bo to byłby za ciężki zarzut — ile brak myśli politycznej, obejmującej całą Monarchję. A weszła na to bezdroże dla tego, że się zasklepiła w ciasnym doktrynerzmie parlamentarnym, który powiada, że rząd jest emanacją większości, a przeto musi być jej sługą i spełniać to tylko, co jej w każdej chwili i wśród kameleonowych jej zmian żywnie się spodoba.

Ks. Bismark, niezawodnie jeden z najlepszych współczesnych krytyków parlamentaryzmu, powiada słusznie w jednej ze swych mów, że tak pojęta doktryna konstytucyjna oddaje ster państwa w ręce nieodpowiedzialnego przywódzcy większości. Gabinet w takim razie jest tylko manekinem, nie mogącym rządzić, chociaż odpowiedzialnym za błędy rządowe; nie z niego płynie inicjatywa wszelkiej akcji, chociaż on służy pozornie dla każdej z nich za źródło; i nie w nim się koncentruje myśl rządowa, ale się rozprasza na cały zastęp tych, którzy większość tworzą, a dla których jest on parawanem tylko.

Teoretyczny ten szkic, narysowany ręką znakomitego męża stanu, jest jakby wyborną fotografią tych stosunków parlamentarnych, jakie istniały w Austrji, gdy dzisiejsza lewica tworzyła większość i z swego zastępu zrekrutowany rząd postawiła u steru. Parlamentaryzm był w r. 1871, kiedy ks. Auersperg stanął na czele gabinetu, zanadto jeszcze świeżą instytucją w Austrji, aby mógł się ustrzedz od form krańcowych. Biegł więc ku nim z tym impetem, jaki młodość daje, i od razu w całej pełni, w takiej niemal, jaką np. we Francji republikańskiej widzimy, zaaplikował teorję o większości parlamentarnej.

Większość ta stała się wszystkiem, rząd zaś instrumentem w jej ręku, obracanym stosownie do woli i widzimisię przywódzców rządowego stronnictwa.

W takich warunkach — rzecz oczywista — państwowa myśl polityczna ustąpić musiała pierwszeństwa przed programatem partji, mającym wprawdzie na czele, bo tak zwyczaj każe, hasła wielkie, obejmujące całą Monarchję, ale mającym także na szarym końcu cele czysto partyjne, zaspakajające nie aspiracje wszystkich ludów i wszystkich warstw, wchodzących w skład państwa, ale interesa jednego tylko ludu lub jednej tylko warstwy, dostarczającej stronnictwu głównego kontyngensu posłów. A w programatach politycznych, tak jak w listach — co najważniejsze, bywa najczęściej w postscriptum.

Zapomniała tedy lewica o naczelnych hasłach swego programu, a zaczęła go w życie wprowadzać od szarego końca. Tu powstały starcia między nią a rządem, starcia nieuniknione, bo w niej już wtedy myśli państwowej nie było, gdy on nią jeszcze przejęty był do głębi. Starcia te stawały się coraz częstsze i gwałtowniejsze, aż w końcu doszło do tego, że najważniejsze państwowe sprawy, decydujące o przyszłości Monarchji, jak np. kwestja okupacji Bośni i Hercegowiny, lub ugoda z Węgrami, przyszły do skutku jedynie dzięki poparciu tych grup poselskich, które zawsze odznaczały się tem, że pielęgnując najczystsze uczucia dynastyczne, z ich źródła czerpały zawsze, wśród najgoretszych walk parlamentarnych, jasną świadomość ogólno-państwowych potrzeb. Z dumą powiedzieć mimochodem możemy, że Koło polskie w pierwszym ich zawsze stawało rzędzie.

Opowiadać koniec rządów lewicy, to rzecz zbyteczna. Rozbiła się na frakcje, jak wszystko co ku partykularnym zdąża celom. A rozbita, ustąpić musiała z pola, bo zdolną do rządów żadna już nie była. Zatraciła bowiem myśl państwową tak zupełnie, tak doszczętnie, że nawet nie potrafiła jej odnaleść w ostatnich kilku latach swych opozycyjnych rekolekcyj. I dzisiaj jest tem, czem była na początku kończącej się obecnie parlamentarnej kadencji: stronnictwem zasklepionem w doktrynie i gotowem, gdyby mu znowu zaświtało słońce, poświęcić Monarchję i jej wielkie dziejowe zadania formułce liberalnej, opowiadającej, iż rząd nie może być niczem innem, jak tylko wykwitem i emanacją większości parlamentu, a więc jej powolnym sługą i ślepym wykonawcą jej woli.

KORESPONDENCJE.

Kraków dnia 9. stycznia.

(§.) Młodsza generacja naszych rękodzielników i przemysłowców wdzięczną będzie kiedyś komisji przemysłowej miejskiej za te opiekę i poparcie, jakiego dziś doznaje ze strony Rady miejskiej krakowskiej. Nie trzeba być optymistą, aby twierdzić, że z posiewu tego wynikną dla miasta i dla kraju bardzo pożyteczne owoce. Nikt jednak nie wymagał się, iżby opozycja nasza wkońcu te sprawę wzięła za przedmiot swoich negacyjnych działań i starała się zgnieść przeszkody wnioskom i pracom komisji.

A jednak tak jest istotnie. Na wczorajszym posiedzeniu Rady miejskiej przewodniczący i wnioskodawca komisji dla podniesienia rękodzieł i przemysłu w Krakowie p. Faustyn Jakubowski, który jawszy się z zapałem sprawy urzeczywistnienia programu Marszałkowskiego podniesienia rękodzieł i przemysłu w naszym kraju, pracuje nad tem dziełem z uznania godną gorliwością i znajomością rzeczy, bronić musiał wczoraj z całą stanowczością i talentem swej wymowy dzieła komisji w obec opozycji, której to cele stanął „wielki przyjaciel przemysłu“, p. Romanowicz. Rzecz dodatnia, broniona z talentem i głęboką znajomością odniosła jednak świetne zwycięstwo nad czysto negacyjną opozycją, której niecność wykazał z tej strony p. Dr. Faustyn Jakubowski tak dowodnie, że aż litość brała, gdy pod ciosami jego mowy rozlatywał się w kawały cały, sztucznie przez p. Romanowicza ułamany gmach opozycyj, a z nim razem „przyjaciela przemysłu“ spadła po wielkiemu przemówieniu wszelka maska blagi i obłudy. Posiedzenie to, z którego podajemy poniżej sprawę, pozostanie na długo pamiętnem dla wszystkich: dla opozycji, jako pierwszy bardzo smutny debiut p. Romanowicza w poważnej Radzie, dla komisji zaś przemysłowej i jej prezesa jako silne zamanifestowanie się jej dodatniego programu i możności przeprowadzenia go wbrew negacyjnemu prądowi opozycji.

BRAT ANTONI.

NOWELLA.

(Ciąg dalszy).

— Masz rację — ciągle z zadziwiającym spokojem mówił Carnstein, a zwracając się do Mrzyńskiego: — Gdzie? jak? i kiedy pan zechcesz, jestem na Jego usługi. — Skłonił się i wyszedł.

Rörstein rozbudzony i przerażony, obejrzał się za pałaszem, i wyśliznął z sali, nie chcąc być wmieszanym w historję, której koniec łatwo było przewidzieć.

Zamieniwszy z sobą słów kilka, Max, Rob i młody oficer niebawem opuścili salę.

V.

Nazajutrz już przed południem, sekundanci obu stron omówili wszystkie szczegóły pojedynku. Odbyć się on miał dnia następnego, o godzinie dziesiątej rano w pobliżu klasztoru Trapistów. Mrzyński, któremu przysłużało prawo wyboru broni, obrał pistolety.

Od powrotu swego zeszłej nocy do siebie Carnstein był pogrążony jakby w śnie katalepsycznym, z którego przybycie sekundantów na chwilę go zaledwie wyrwać potrafiło. Godzinami całemi siedział z wzrokiem utkwionym w okno po którem szalała śnieżna zawierucha, i myśleć — jeżeli myślą nazwać można, to najstraszniejsze uczucie, w którem myśli w bezładzie przelatują po głowie coraz inne, coraz szybsze, dręcząc tem samem, że ich do ładu doprowadzić nie można. Jest to chwila rzadka, jedyna nieraz w życiu człowieka, w której tego życia i siebie samego zrozumieć nie jest w stanie.

Pierwszy brzask dnia, blado-żółtem i niepewnem światłem oświecił ściany pokoju i zbudził go z otrętwienia. Spojrzał w koło siebie, żadna tutaj nie zaszła zmiana, a tak strasznie wszystko zmienionem było!

Zdawało mu się, że całe życie jego, które przedstawiał wzniesiony własną ręką, ogromny, wspaniały gmach, runął nagle i przygniótł go ogromem swego ciężaru. Z pod tych świeżych zgliszczów i gruzów, które go otaczały, snuły się różne wspomnienia, tysiąc faktów zbierało się dziwnie — i straszne okropne podejrzenie, które każda chwila w pewność zamieniała, ciśnęło się do serca. Głęboko westchnął, a z tem westchnieniem zrodzonem boleścią, uleciała młodzieńcza dotąd wiara w świat i ludzi i wahadło jakiś żal straszny, nieokreślony ku Temu, który wiarę i szczęście odbierał, bo ma do tego prawo, ale dla czegoż je dajе?

Coraz jaśniej robiło się w pokoju, godziny po godzinie bił zegar zwykłym dźwiękiem, ulica codziennym tętniała życiem, z po za szarych obłoków wyjrzało słońce i świat cały złotym oblało strumieniem. Śniegiem przyprószone dachy, djamentową iryzacją jaśniały, a odblask ich wkradł się przez zamarznięte szyby do wnętrza pokoju rozpromieniając się na twarzy Ludwika.

Wstał z krzesła, na którem tyle godzin bezmyślnie przesiedział i zajął się nieuniknionemi w podobnych razach formalnościami, uporządkował niektóre papiery, napisał do matki, na kopercie list ten zamyślił się głęboko.

Zadumę przerwał mu Robert.

— Przepraszam, że wchodzę i przeszkadzam ci może? — rzekł Zuński.

— Rob? co za szczęśliwy zbieg okoliczności! Szukałem właśnie kogoś, którego nazwać nie mogłem. Tym, ty byłeś, gdyś wszedł, pomówić osobę mojej wyobraźni. Mój kochany Robercie, mam prośbę do ciebie, która ciężki na ciebie nałoży obowiązek. Ale podobno świętemi są ostatnie życzenia umi rającego, a jeżeli przyjdzie do tego, że prośbę moją spełnisz, będzie to ostatnie życzenie umarłego. Czy podjęmiesz się w razie potrzeby, — dodał, biorąc do rąk zapieczętowaną kopertę — list ten osobiście wręczyć mojej matce?

— Daj — spokojnie odrzekł Zuński, a po twarzy tak pogodnej zwykle, przeleciała chmura smutku i w ciemnych pozostała oczach.

— Dziękuję ci — serdecznie dziękuję — ściskając jego rękę, rzekł Carnstein.

Tę rękę w obu swoich zatrzymał Zuński. Ludwiku — mówił — gdybym był pewien, że w jutrzejszem spotkaniu polegniesz, nie mówiłbym z tobą dzisiaj o tem, o czem mówić pragnę, i o wysłuchanie czego usilnie cię proszę. Podobno nie ma okrótniejszej ręki, nad te, która nam rozmyślnie zrywa iluzje, a poza niemi naga pokazuje rzeczywistość. Nie pochwalam bynajmniej postępowania Maxa, ale wiem, że wszystko co powiedział, jest prawdą, a prawdy całej nie powiedział jeszcze. Nie zrozumiesz tego dzisiaj, w przyszłości pojmiesz, że ja się brzydzę, a dziś nie można dzisiaj ludzi kosztem własnego szczęścia mówić... nie przychodź do nich z sercem, bo dziś serc się nie opłacają! Kobieta, którą kochałeś...

— Mój drogi — przerwał mu Carnstein, przypatrując się oczy ręką, jak żeby samą wzmianka o tej kobiecie odwiewać go — potrzebuję sił my mojej w jutrzejszym spotkaniu, potrzebuję sił moralnych i fizycznych, potrzebuję spokoju. Niemniejsze wspomnienie, najmniejsza wzmianka o teraźniejszości, która się już w przeszłość zamieniła, mogłaby mnie... mnie... okropnie męczy! Jeżeli w co chcę wierzyć — dziś polegnę, po cóż mi wiedzieć! Jeżeli ocaleję to poznać życie niepokoić wspomnieniem przeszłego? Jeżeli los zrządzi, że dalej mam żyć jeszcze — zawczasu — zawczasu się dowiem!

Iskrzący od mrozu i słońca bielił się las, w pośród którego stoi klasztor Trapistów; szronem pokryte konary ku ziemi zwieszały swe ciężkie ramiona, a mniejsze gałązki dumne, prosto, lekko tylko przyprószone, najeżone główki wznosiły ku błękitowi niebа, ku jasno roześmianemu słońcu się poddawały.

Na oznaczonem miejscu do pojedynku, dobrze przed dziesiątą stanął Carnstein. Pilno mu widocznie było, kiedy się tak pospieszył. Czekając reszty osób, przechadzał się, spoglądając to na miasto, które na lewo u stóp jego rozłożyło, to na klasztorne szczyty, które się wznosiły wśród świerkowej gęstwiny.

Ponura cisza panowała w koło niego, przerywana chyba zsunięciem się śniegu, który białym, iskrzącym proszkiem spadał — i znów cisza zaległa.

— Dobrze mi tu będzie — pomyślał Ludwik. — Żaden głos mnie tutaj nie doleci, chyba klasztornych dzwonów, a te nie zbudzą uśpionego na wiek!

Stawał do pojedynku jak się staje do niechybnej śmierci, tak daleką była od niego myśl, że ta śmierć pewną przecież nie była, jak niecierpliwie jej oczekiwał, tak gorąco pragnął! Śmierć to koniec — kończy cierpienia, zabiera pamięć!

Nadjechali sekundanci, niebawem i Mrzyński się zjawił. Z pośpiechem i w milczeniu urządzono wszystko i jeden z sekundantów donośnym głosem:

— Raz — dwa — trzy. — Ostatnie jego słowo zagłuszyły w jednej prawie chwili wypadłe strzały... Jakby w górę jego strzał chwilę wyrwał dymu... Wszysko to trwało zaledwie sekundę, dym opadł. — Z krzykiem przerażenia Mrzyński patrząc wytężonym wzrokiem w miejsce...

Carnstein leżał na murawie, twarzą ku ziemi...

Prędzej jeszcze niż lekarz, podbiegł ku niemu Max.

— Czy żyje? — z trwogą zapytał.

Po krótkiej chwili, której grobowe towarzyszyło milczenie:

— Żyje — rzekł lekarz — kula uwięzła w lewym boku, o włos, a byłaby ugodziła w serce!

Mrzyński odetchnął. Podobno nigdy nie zapomniał okropnego uczucia, którego doznał w tej krótkiej chwili niepewności.

Odwieziono rannego do miasta i jakby nawet troskliwszą matka zajął się nim Zuński.

Odzyskawszy przytomność, polecił Ludwik, aby matce o niczem nie doniesiono, a sam jej nie prosił, aby go w jak najkrótszym czasie odwieziono do Carnstein. Z powrotem do życia gorączkowo pragnął ujście K.

Mimo zapewnień lekarzy, że w stanie rannego nie ma nic groźnego na razie, przez trzy tygodnie był tak, że Zuński codzień zawiadamiał matkę i co dzień odkładał, z obawy zaniepokojenia od dłuższego już czasu cierpiącej hrabiny.

Po trzech tygodniach dopiero polepszyło się nagle i sam Carnstein uwiadomił matkę o pojedynku, donosząc jej zarazem o swym przyjeździe.

Mrzyński w dzień pojedynku pożegnał Roba i K., w którym go już odtąd nie widziano. Carnstein oprócz Zuńskiego, który go nie odstępował, literalnie nikogo nie chciał. Zadziwiało mu o podróży być bądź możliwą, mimo prośb Roba i nalegań lekarzy, Ludwik wyjechał do Carnstein. Do Pesztu odwiózł go Zuński, tutaj dopiero oddawszy syna matce, pożegnał towarzysza pokonany, który dnia tego zagrożony smutny, odjechał go wkrótce odwiedzić.

Przy końcu wiosny — dotrzymując słowa, przyjechał do Carnstein i nietylko, że zastał rekonwalescencję hrabiego zbyt wolnym postępującą, ale wkrótce po jego przyjeździe krokiem, ale i sama hrabina ciężką zaległa choroba.

Niepokój o matkę wyrywał chwilami Carnstein z zimowej apatycznego stanu, w którym Rob go zastał.

(Dokończenie nastąpi).

Alces.

Przystępując do zdania sprawy z tego posiedzenia, przytoczyć winniśmy najprzód ważne dla miasta naszego zawiadomienie prezydjalne, jakie przedstawił wczoraj prezydent Szlachtowski. O wydzierżawieniu akcyzy miejskiej na dalsze trzy lata, które przynosi miastu znaczne dochody, tudzież o wydzierżawieniu myta na moście Podgórskim, a wreszcie o wydzierżawieniu przewozu na Wiśle od skarbu państwa doniosłem już. Rada miejska przyjęła z zadowoleniem do wiadomości powyższe doniesienia i upoważniła Prezydenta miasta do podpisania dotyczących kontraktów wspólnie z komisją administracyjną. Dalej zawiadomił Prezydent Radę, że preliminarz budżetu miejskiego na rok 1885. jest już przygotowany i rozdany zostać pp. Radcom. Preliminarz ten wykazuje ogólną sumę wydatków w kwocie 591.479 i takąż sumę dochodów. Następnie zawiadomił Prezydent Radę, że sprawę ubogich przeniósł z departamentu IV. do V., dla tego praktycznego względu, że departament V. ma z ludnością miejską ciągłą styczność, a z tąd i ewidencja ubogich będzie mogła lepiej i dokładnie być prowadzoną. Wreszcie zawiadomił Prezydent, że zrywając z praktyką poprzednika swego, przyjął na sekretarza prezydjalnego p. Banasia, który będzie zarazem prowadził protokoły posiedzeń pełnej Rady i protokoły klubu komisyj, a nadto „Dziennik rozporządzeń miejskich".

Z porządku dziennego przedstawił najprzód r. m. Dr. Lisowski imieniem sekcji prawnej wniosek dotyczący przyjęcia do wiadomości ustępstwa praw i obowiązków przez Bank belgijski z kontraktu z gminą miasta Krakowa o urządzenie i użytkowanie kolei konnej w mieście Krakowie zawartego, wynikających na rzecz Towarzystwa pod firmą „Tramwaje austrjackie Krakowa i przedłużeń". Po wyczerpującym przedstawieniu przedmiotu przez sprawozdawcę p. Dr. Lisowskiego i wykazaniu, że żadne z tego przeniesienia praw i obowiązków nie grozi niebezpieczeństwa dla gminy, przyjęła Rada wnioski komisji.

Następnie wnioski komisji przemysłowej, przedstawione przez r. m. dra Faustyna Jakubowskiego. Mimo, że pisałem już o tych wnioskach, podaję takowe w ostatecznem sformułowaniu, aby uwydatnić dyskusję, jaka się nad niemi toczyła. Komisja przemysłowa wniosła:

Rada miasta uchwali: 1) Utworzone zostają dwie klasy równorzędne, oddziału II. w szkole przygotowawczej przemysłowej na Kazimierzu, niemniej utworzoną zostaje klasa równorzędna w III. oddziale takichże szkół u św. Ducha, na Smoleńsku i na Kleparzu, tudzież jedna klasa równorzędna w I. oddziale przy szkole przygotowawczej przemysłowej na Kleparzu;

2) na urządzenie utrzymania tych 6 klas równorzędnych do końca roku 1884 — tudzież na materjały naukowe przyznaje się złr. 1400 aw.

3) wszelkie sprawy w szczególności sprawy administracyjne i osobiste dotyczące przygotowawczych szkół przemysłowych, tudzież szkoły robót kobiecych przy szkole św. Scholastyki, przydzielone zostają komisji przemysłowej i departamentowi III. Magistratu;

4) rozwiązuje się komisję dla szkoły przemysłowej;

5) rozwiązuje się komisję dla muzeum przemysłowego;

6) poleca się Magistratowi:

a) aby żądał miesięcznych wykazów frekwencji uczniów szkół przygotowawczych przemysłowych i aby na podstawie onychże karał majstrów, nie posyłających uczniów do tychże szkół a szczególnie za nieposyłanie uczniów na rysunki;

b) aby wpłynął na stowarzyszenia rzemieślników krakowskich, by w statutach swoich zamieściły zastrzeżenie, iż tylko ten terminator może być wyzwolonym, który się wykaże świadectwem z dobrym postępem z III. klasy szkoły przygotowawczej przemysłowej. Wyjątek stanowią tylko uczniowie, którzy się wykażą dobrym postępem z II. klasy gimnazjalnej. Magistrat udać się ma nadto do c. k. Namiestnictwa z prośbą o zatwierdzenie powyższego zastrzeżenia w statutach korporacyj rzemieślników krakowskich;

7) wniesie petycję do Wydziału krajowego o subwencję dla szkół przygotowawczych przemysłowych i dla szkoły robót kobiecych przy szkole św. Scholastyki.

Uzasadniając wnioski komisji przemysłowej pod 1) i 2) przytoczone, podniósł sprawozdawca, że w czerwcu zeszłego roku było w szkołach przygotowawczych przemysłowych 711 uczniów, w tym zaś roku szkolnym po dokonanej reorganizacji uczęszcza do szkół 1.100 uczniów. Klasy są jednak za szczupłe dla pomieszczenia wszystkich uczniów; na niektóre klasy przypada po 120—160 uczniów; potrzeba utworzenia klas paralelnych okazała się więc konieczna.

Pomimo tej potrzeby jednak i pomimo że z wyjaśnień sprawozdawcy okazało się, że chodzi tu właściwie o indemnitę dokonanego już zarządzenia, bo sprawa nie mogła się przedtem dostać do rozstrzygnięcia w Radzie, podniosła się przeciw powyższym dwom wnioskom komisji opozycja. Mianowicie przemawiał przeciw nim r. m. Chęciński, który mimo, że jest rękodzielnikiem sprzeciwia się obciążeniu budżetu miejskiego szkołami dla uczniów rękodzielniczych, powinna to robić Rada szkolna z funduszów krajowych. Pomimo, że pp. radcy dr. Bobrzyński i dr. Zoll wykazali oponentowi mylność zapatrywania się jego na stosunki szkolne i starali się go pouczyć o warunkach udziału funduszu krajowego w zakładaniu i utrzymywaniu szkół, pomimo, że referent wykazał mu konieczność nauki dla młodzieży rękodzielniczej a niemożność spychania ciężaru stąd wypływającego, na kogo innego, pan radca, reprezentant przemysłu i rękodzieł trwał w swoim uporze, nad którym jednak Rada przeszła do porządku dziennego, przyjmując w głosowaniu pierwszy i drugi ustęp wniosku komisji. Poczem przewodniczący poddał pod dyskusję dalsze wnioski komisji w ustępie 3, 4, 5, 6 i 7-ym sformułowane.

Przeciw tym wnioskom zabrał głos p. Romanowicz. Zarzuca on komisji, że miała ona tylko radzić o sposobach podniesienia przemysłu a tu tymczasem widzimy, że ona chce i działać, uzurpując sobie prawa magistratury. (Według p. Romanowicza tylko meetingi mogą się zajmować wykonaniem powziętych przez siebie uchwał. Uwaga koresp.). Zarzuca dalej mówca, że sekcja prawnicza miała uchwalić dla komisji przemysłowej regulamin, tymczasem komisja obywa się bez niego; zarzuca dalej p. Romanowicz, że komisja składa się z adwokatów i profesorów Uniwersytetu, zamiast z przemysłowców i szkolników; że z przekazania komisji, mianowicie zaś z przejęcia przez nią funkcyj sekcji szkolnej co do szkół przemysłowych wynikną liczne nieformalności i kolizje, które mówca przytacza. Wnosząc w końcu, by 3, 4 i 5 punkt wniosków komisji odesłać do sekcji szkolnej z poleceniem, by takowa z komisją przemysłową rzecz na nowo zbadała i nowe wnioski Radzie przedstawiła.

W odpowiedzi na zarzuty p. Romanowicza zabierali głos r. m. profesor Zoll, p. Szpakowski (reprezentant przemysłu), profesor dr. Zatorski i sprawozdawca dr. Faustyn Jakubowski. Gdy przemówienia ich sięgnęły do głębi sprawy podniesienia rękodzieł i przemysłu, wykazując bezzasadność opozycji, która zawsze o tem podniesieniu deklamuje; gdy sprawa z tego tytułu nadzwyczaj ważny obudza interes nietylko dla miejscowego naszego przemysłu i rękodzieł, przeto aby ją wyczerpać, a nie nadawać listowi dzisiejszemu zbyt wielkich rozmiarów, odkładam rzecz do następnego listu. Tu tylko nadmieniam, że po gruntownych przemówieniach prof. Zolla, prof. Zatorskiego i świetnej mowie referenta p. dra Jakubowskiego, która powszechne wywołała wrażenie, opozycja p. Romanowicza znalazła tylko 4 prozelitów, a Rada wszystkie wnioski komisji przeważającą większością zamieniła w uchwałę.

Berlin 8. stycznia.

(J. S.) Spodziewaliśmy się dziś w parlamencie niemieckim ożywionych rozpraw o polityce kolonjalnej, na temat, czy nieistniejący jeszcze gubernator cywilny w Kamerunie w interesie wywozowych firm hamburgskich potrzebuje koniecznie parowca i łodzi parowcowej z funduszów całego państwa niemieckiego? Ale rzeczy wzięły inny zupełnie obrót. Winien był temu, zapewne przeciwko swej woli, książę Bismark, który sam wyznał, że przysposobił się na temat wspomniany, a jednakowoż o innych przedmiotach wygłosił pięć mów na dzisiejszem posiedzeniu. Na początku obrad potrącono o sprawę wychodźtwa; minister Bötticher ubolewał nad tem zjawiskiem niezadowolenia panującego w Niemczech, zaręczając, że rząd boczną zwraca uwagę na agentów zagranicznych; oświadczył w końcu, że myśl przedstawienia projektu do prawa o wychodźtwie wcale nie została porzuconą mimo licznych trudności. Skoro zaś liberalny poseł Dirichlet stąd wyprowadził wniosek, że rządowa chwalba o ogromnych korzyściach zwrotu Bismarka w polityce gospodarczej ma bardzo słabe podstawy, kiedy wychodźtwo ciągle jeszcze zbyt wysokie przedstawia liczby, uważał książę Bismark za obowiązek zaprotestować przeciwko temu rozumowaniu.

Nieszczęściem jednak posunął się kanclerz do twierdzenia, że wychodźtwo bywa nieraz dowodem rosnącego dobrobytu. Rozumie się, że natychmiast odezwała się krytyka z drugiej strony; skutkiem niej musiał ks. Bismark bronić swego zdania, a przytem dotknąć ogólnego położenia rolników. Przy tej sposobności oskarżył stronnictwo liberalne, że nie dba dostatecznie o rolnictwo, obciążone zbyt wielkiemi ciężarami, a nie dba dla tego, że liberaliści mieszkający po wielkich miastach po prostu nie znają stosunków wiejskich. Zwrócił nadto uwagę, że przeważna większość ludności państwa niemieckiego jak najściślej jest związana z interesami rolnictwa, ponieważ żyje z gospodarstwa rolnego. Największą klęską byłoby, gdyby się gospodarstwo rolne nie opłacało już z powodu wygórowanych ciężarów na ziemskiej własności spoczywających. Przywódzca liberalnej opozycji Eugenjusz Richter odparł kanclerzowi, że rząd nie zna innego lekarstwa przeciwko chorobie gospodarczej, jak podwyższenie ceł i zaprowadzenie pośrednich podatków na artykuły niezbędne do utrzymania życia; ostatecznie wychodzi to na to, że ludzie bez majątku, bez własności składać się muszą na bogaczy, aby ciż ostatni jeszcze lepiej się mieli. Żywo i słusznie zaprotestował przeciwko temu oskarżeniu ks. Bismark. Rządowi chodzi o to, aby producentom zapewnić możność zbytu towarów i ulżyć ubogim.

Cła zbożowe i drzewne nie mają innego celu. Tu zabrał znowu głos Richter i twierdził, że z podwyższenia ceł tylko obecne pokolenie posiadaczy obszernych włości będzie miało korzyści, następne pokolenia będą w tej samej biedzie co dzisiejsze, bo tymczasem podskoczą ceny ziemi w górę. Lewica przyjmuje zaś z wielką ochotą walkę w tej dziedzinie; niechaj kanclerz rozwiąże parlament a kraj wiedzieć będzie, że mu grozi podrożenie żywności i wszelkich artykułów potrzebnych do życia. Zirytowany kanclerz odpowiedział mu natychmiast; przyznał się więc naprzód, że dawniej był sam tego samego zdania co Richter, ale w ciągu lat ostatnich wiele nauczył się i dziś silnie jest przekonany, że robotnik z głodu umrze, gdy rolnik nie będzie miał co jeść. Lewicę oskarżył książę, że podburza lud przeciwko rządowi podobnież jak socjaliści, że jemu głównie podsuwa najgorsze tendencje, jakoby miał na celu osobiste widoki, mianowicie wzbogacenie się własne. Na zarzut podniesiony z liberalnej strony, że mimo zwrotu w gospodarczej polityce zmniejsza się obszar ziemi, gdzie się sieje żyto, odparł kanclerz, że stosunki pogorszą się jeszcze bardziej, jeżeli cena zboża nie będzie podniesioną do tego stopnia, aby się rolnictwo w ogóle opłacało. Żywo dalej narzekał, że liberaliści ciągle na państwo i na rząd uderzają, a ostatecznie zamierzają jego tylko obrazić osobiście, jakoby polityka jego nie była uczciwą. Kanclerz oczekuje tymczasem spokojnie, jaki wyrok kraj wyda o szczerości i uczciwości jego i Eugeniusza Richtera. — Wreszcie opuścił o 5½ książę salę po pięciu przemówieniach, a o 6 godzinie zakończyły się namiętne rozprawy.

GŁOSY PRASY.

Czytelnicy nasi znają dobrze stan teraźniejszy sprawy egipskiej. Na propozycje angielskie ma odpowiedzieć Francja swojemi kontr-propozycjami, a żeby jednak uzyskać dla nich poparcie u mocarstw kontynentalnych, prowadzi z niemi poufne rokowania. Gdy te się skończą, kontrpropozycje francuskie zostaną przedłożone gabinetowi angielskiemu, a jeżeli nie napotkają u niego na zasadniczą opozycję, natenczas zbierze się konferencja, przedebatuje szczegóły i sprawę definitywnie załatwi.

A teraz posłuchajmy, jak tę kwestję rozbierają przedpotopowi politycy.

„Co się dzieje z sprawą egipską? Anglja przesłała gabinetom swe propozycje i dotąd żaden gabinet nie dał odpowiedzi. A gdy angielski urgował o odpowiedź, to z Berlina, Wiednia i Petersburga oświadczono, iż najwięcej interesowanemi mocarstwami w tej sprawie są Anglja i Francja, inne więc mocarstwa wyczekują poprzednich rokowań i porozumienia między Paryżem i Londynem. Ale właśnie dotąd między Anglją a Francją nie zaczęto żadnych rokowań. Ferry miał wprawdzie na propozycje angielskie sformułować kontrpropozycje francuskie, ale nie udzielił ich angielskiemu gabinetowi, lecz wprzód starać się ma dla swych wniosków pozyskać w poufnej drodze mocarstwa kontynentalne. Ale z Berlina, Petersburga i Wiednią miano mu dać do poznania, że życzonoby sobie, ażeby pierwej komisja mieszana zbadała tak propozycje angielskie jak i francuskie i zdała sprawę mocarstwom. Znaczy to tyle, że mocartwa pragnęłyby jako sąd polubowny rozstrzygnąć między Francją i Anglją. Czy Anglja a nawet czy Francja poddałaby się takiemu sądowi, rzeczą jest bardzo wątpliwą. Najpewniej mogłoby szybko do załatwienia sprawy egipskiej przyjść, gdyby się porozumiały Francja i Anglja. Wtedy nie potrzebowałyby wiele oglądać się na mocarstwa kontynentalne. Gdyby Anglja wrócić chciała do *status quo ante* tj. do wykonywania wspólnej kontroli Francji i Anglji w Egipcie i na kanale Suezkim, to rzecz byłaby załatwioną. Ale Anglji żal jest porzucić myśl zaboru Egiptu, a tylko nieszczęśliwy rezultat wyprawy sudańskiej Wolseleya mógłby ją do tego skłonić. Żadnego więc stanowczego kroku Anglta nie chce uczynić teraz, lecz wyczekuje rezultatu wojny sudańskiej. Jeśli się wyprawa powiedzie, natenczas Anglja z innego tonu przemówi do mocarstw! O wycofaniu się jej z Egiptu już wtedy mowy nie będzie!"

Kto ten groch z kapustą przeczyta, domyśli się niezawodnie, że pochodzi on z politycznej kuchni *Gazety Narodowej*.

W znakomitej komedji Paillerona „Świat Nudów" księżna de Réville żartuje z prof. Bellaca, że na swych konferencjach zawsze mówi o miłości. Wczoraj więc mówił o miłości, dziś „dla odmiany" mówi znowu o miłości, jutro „dla odmiany" będzie mówił ponownie o miłości, i tak dalej bez końca. *Dziennik Polski*, idąc trybem prof. Bellaca, mówi codzień o *Przeglądzie*, a robi tę tylko odmianę, że jednego dnia mówi uczenie (traktat o ekspektoracjach), drugiego muzykalnie, trzeciego humorystycznie, a czwartego stylem fornalskim. Dzisiaj ten właśnie styl zastosował. Nie tykamy tej jego szaty, będącej mu tak do twarzy, a notujemy tylko, że usprawiedliwiając się przed *N. Reformą* ze zrobionego zarzutu, iż za dużo prasa lwowska zajmuje się *Przeglądem*, pisze *Dziennik* tak:

„Przyznalibyśmy słuszność *Nowej Reformie* i nie zajmowalibyśmy się wcale takim *Przeglądem*, gdyby kraj nasz był politycznie dojrzałym i potrafił tę truciznę należycie ocenić. Ale Galicja to nie Czechy. Dziennikarstwo patrjotyczne ma obowiązek przestrzegać bezustannie opinję publiczną przed szkodliwą prasą, agitującą w rozmaitych celach, tylko nie naszych narodowych."

To jest „tylko nie naszych kasowych."

Czas omawia sprawy miejskie krakowskie, biorąc do tego assumpt ze znakomitego artykułu, który nam przyniósł *Przegląd Polski* w styczniowym swym zeszycie, pod tytułem: „Kartka z ostatnich dziejów Rady Miasta Krakowa." Na ten artykuł zwracamy baczną uwagę wszystkich zajmujących się sprawami publicznemi. Nie od rzeczy byłoby także, aby go przeczytali nasi radcy miejscy.

N. Reforma bawi się w arytmetykę budżetową.

MAŁY FEJLETON.

Rzecz się dzieje... nie pomyślcie, że we Lwowie! Gdzież tam! gdzież tam! Rzecz się dzieje... w Chinach, w jednej z licznych stolic tego państwa, w Li-o-wie.

Mieszkańcy Li-o-wa byli podobni do wszystkich innych ludzi, z czem się każdy zgodzi, gdy się dowie, że mieli aż trzy teatry marjonetek, jedną menażerję papierowych straszydeł i umierali, gdy na nich śmierć przyszła.

A byli przytem chciwi widowisk, które nazywali hecami. Wiedząc o tem, właściciele trzech teatrów marjonetek i pogromca papierowych straszydeł na wyprzódki się starali dogodzić publiczności. W ich budach, otwieranych codzień (oprócz menażerji, w której olbrzymie widowiska dawano raz na tydzień), zawsze było hec co nie miara, a gdy zabrakło do nich tematu z życia Li-o-wa, albo całego mandarynatu, albo wreszcie z życia jakiej innej części Niebieskiego państwa, natenczas właściciele trzech teatrów i pogromca papierowych straszydeł brali się za kosy, wprawdzie bardzo cieńkie, ale jeszcze zdolne do wytrzymania niejednej rozprawy na pięście. Wziąwszy się tedy za kosy, rozpoczynali najpyszniejszą hecę ku ogólnej uciesze poczciwych li-o-wianów. Bolało ich to widowisko, bo bez brzydkich guzów żaden z nich ze sceny nie schodził, ale dawali je, żeby publiczności nie odzwyczaić od hec, które kieszenie ich napełniały.

I tak długie lata żyli szczęśliwie, różnemi sztuczkami opanowali opinję całego miasta i stali się w końcu tak potężnymi, że nikt się przeciw nim nie śmiał odezwać. Proszę z tego powodu nie pomyśleć, że li-o-wianie byli tchórzliwego serca; oni tylko nie wiedzieli, jak zrzucić z siebie jarzmo, włożone na nich przez trzech dyrektorów teatrów marjonetek, zaprawionych do hec, i jednego pogromcę papierowych straszydeł. I istotnie, zrzucić to jarzmo było sztuką nielada.

Po długich mozołach sztuki tej dokazać postanowili poważni obywatele, którym już kością w gardle stanęły hece, wyprawiane w trzech marjonetkowych budach i jednej menażerji. W tym celu sprowadzili oni do miasta prawdziwy teatr, na którego scenie poczęto dawać rzeczy zdrowe i opracowane uczciwie. Lud począł zaglądać do nowego teatru, pomimo że przedsiębiorcy hec wystąpili z jeneralną przeciw niemu hecą. Kasy trzech bud poczuły, że mogą dostać suchot, — więc właściciele ich zebrali się na naradę.

Pierwsze miejsce zajął dziekan sztuki hecowej. Szczwany był to lis, najczęściej cudzemi rękami z ognia wyciągał kasztany, a Taj-ping z niego był zawołany. W czasie wojny Taj-pingów z cesarskiemi wojskami obwołano go królem, a że na imię miał Jan-si-o, więc odtąd poczęto go zwać Jan-si-o-brus'em, bo b r u s w języku li-o-wianów oznacza najwyższą godność hecowską. Zdobywszy tytuł brusa i chcąc go na zawsze utrzymać przy sobie, postanowił być wyższym od innych li-o-wianów. Wlazł więc na szczudła niezmiernie wysokie, a ozdobione obrazami chińskich bogów, wymalowanych jaskrawo narodowymi kolorami. Odtąd z tych szczudeł nigdy nie złaził.

Po obu jego bokach zasiedli dyrektorowie dwóch innych bud hecowych. Pierwszy — wielkiej tuszy, z twarzą nabrzękłą, zaspaną, bezmyślną, w długiej wyszarzanej kapocie i z grubą pałką w ręku, siedział otworzywszy gębę od ucha do ucha i ciągle spoglądał na swoich doradzców, którzy w stroju błazna siedzieli na jego ramionach. Li-o-wianom tyle tylko o nich było wiadomo, że pochodzili z ziemi hebrajskiej, samego zaś dyrektora zwali krótko: C z u - j e s z. — Drugi dyrektor cienki i długi miał minę człowieka, który ciągle się boi bambusowej trzciny. Przedstawiał on sobą nowoczesny typ pokątnego chińskiego pisarza. Był też czemś podobnem. Niedawno jeszcze na guziku kapoty nosił kałamarz, za uchem — trzcinowe pióro, a pod pachą — księgę, w której zapisywał umowy, zawierane przez jego klientów. Ale raz coś w tej księdze potężnie przeskrobał, więc też mu udzielono potężnej porcji bambusowych kijów i wygnano z urzędu. Jął się wtedy kierownictwa budą hecową i dobrze zrobił, bo za co gdzieindziej okładano bambusowymi kijami, za to samo w budzie hecowej płacono hojnie. Że każde, najmizerniejsze nawet stworzenie musi mieć swoje przezwisko, więc i na niego wołano: S a - f u - c z u.

Wszyscy czterej mieli głowy zwieszone i milczeli. Przygniatała ich trwoga, że nowy prawdziwy teatr, zaćmi sławę ich bud hecowych i doprowadzi do suchot.

— O, sławny dziekanie sztuki hecowskiej! — zawołał nareszcie Sa-fu-czu. — Dzielny uczniu Dalaj-Lamy! Robiłem w mej budzie wszystko, co mi poleciłeś. Kazałem wilkom moim wyć na nowy teatr, potem nań puściłem ogromny tłum mopsów, — nic nie pomaga! A tymczasem w mojej kasie coraz większe pustki!

Chwycił się oburącz za głowę i zaszlochał, powtarzając:

— O, moja kasa! moja biedna kasa!...

Mistrz sztuki hecowskiej smutnie powtórzył:

— Moja biedna kasa!... — Potem się ożywił, podniósł swe szczudła, pomalowane na narodowe kolory, i zawołał: — Oto wasz sztandar! Widzicie te kolory?

— Ny, to kolory, to takie sobie kolory! — w jeden głos odezwali się dwaj doradzcy, siedzący na ramionach Czu-jesza, który tylko patrzał i milczał.

— Mistrzu, naucz mię co one znaczą! — pokornie się odezwał Sa-fu-czu.

— Nauczę was, moje dzieci! Są to kolory nasze narodowe. Kto je wywiesza, patrjotą jest. Nie potrzebujecie nic więcej wiedzieć, bo zresztą i nie zrozumiecie co znaczy być patrjotą. Ale o zewnętrznych pozorach jego, o patrjotyzmie malowanym, musicie wiedzieć wszystko. On lepszy od rzeczywistego patrjotyzmu, bo ten wcale nie daje ani złota, ni srebra, gdy tamten jest niewyczerpaną kopalnią bogactw. Po waszej działalności widzę, że instyktowo dawno już czujecie tę prawdę, ale jeszcze do dna nie zgłębiliście jej. Aby zwalczyć nowy, prawdziwy teatr, musicie wywiesić ten sztandar patrjotyzmu malowanego. A pomalujcie go jaskrawo, aby w oczy bił. Słuchajcie mnie i róbcie jak każę!

Tu ręką przeciągnął po twarzy, przygotowując się do długiej mowy o malowanym patrjotyzmie, będącym niewyczerpaną skarbnicą bogactw, — kiedy w tem jeden z hebrajczyków, siedzących na ramionach Czu-jesza, zawołał:

— Ny, jakie kolory? Co to jest kolory?

A drugi wnet dorzucił:

— Patrjotyzm? Ny, to nie jest żaden towar. Ja ciągle czytam wszystkie kurs-cetle, ale nie dostrzegłem, żeby go notowano na którejkolwiek giełdzie. Aj waj, może to i dobry towar, ale ja nie wiem, jaki w handlu daje procent!

— I ja *auch* nie wiem! — powtórył pierwszy hebrajczyk, trącając Czu-jesza, który wnet się obudził i mruknął:

— Patrjotyzm... furda! A grunt — burda! — i znowu zadrzemał.

Wtedy pierwszy hebrajczyk wskoczył na głowę Czu-jesza i wielkim głosem zawołał:

— Ja mam *myszl!* Niech właściciel nowego teatru będzie *ein Dieb!* Ny, to będzie senzacja! On, ten właściciel, sobie poszedł i w nocy sobie rozbił *eine Wechselbank*.

— *Wie heisst!* — straszliwym głosem krzyknął drugi hebrajczyk, myśląc, że kolega jego mówi o rzeczy, która w istocie się stała. — On rozbił Wechselbank, a gdzie są pieniądze? Ny, niech on sobie rozbił Wechselbank, dwa Wechselbanki, trzy Wechselbanki! A gdzie są pieniądze?! *Gewalt!* Ja muszę mieć moją część!

Z uśmiechem, pierwszy mistrz sztuki hecowskiej dobrotliwie poklepał go po ramieniu i odezwał się głosem proroczym:

— Synu mój! Będzie z ciebie kiedyś właściciel takiej budy, jakiej jeszcze nie widziała ta część Niebieskiego państwa!

— Ny, ja to wiem!

— Ale teraz — ciągnął Jan-si-o — nie można robić hec na temat o rozbiciu Wechselbanków. Powiadam wam — patrjotyzm, malowany patrjotyzm wywieście nad waszemi budami! Grajcie na strunach patrjotyzmu li-o-wianów! Oni uwierzą wam, bo patrjotyzm ich, rzeczywisty, niemalowany, tak wielkim jest, że ani pomyślą nawet, żeby nim można było handlować, zwłaszcza, że, w zabiegach o kawałek chleba, nie mają czasu na rozróżnienie prawdy od fałszu.

— Słusznie! Znakomita rzecz! — zawołał Sa-fu-czu. — Ja zaraz w mojej budzie ogłoszę, że w nowym teatrze będą grali dla tych przebrzydłych Japończyków, którzy zęby ostrzą na naszą ziemię!

Tu się Czu-jesz obudził, przetarł oczy i mruknął.

— Patrjotyzm — furda!

— A Wechselbank — to burda, grojsse burda! krzyknęli hebrajczycy.

— Ja robię burdę! — zakończył Czu-jesz.

Jan-si-o i Sa-fu-czu, wziąwszy się za ręce, wyszli śpiewając:

Och, patrjotyczna heca, heca, heca
Li-o-wianom spadnie na łeb z pieca, z pieca
Naszych bud! naszych bud!

Bo uczciwie walczyć z wrogiem, z wrogiem, [z wrogiem
Takim przytem w sądach o nas srogim, srogim
Ciążki trud! próżny trud!

KRONIKA.

Najjaśniejszy Pan zezwolił najwyższem postanowieniem z dnia 20 grudnia z. r., aby hr. Jan Krasicki, c. k. podkomorzy i właściciel dóbr przyjął i nosił wielki krzyż oficerski orderu rumuńskiej korony.

Z Towarzystwa politechnicznego. Tygodniowe zgromadzenie członków tego Towarzystwa odbędzie się dzisiaj o godz. 6 wieczorem w sali ratuszowej.

Koncert. Jutro o godzinie pół do 1-ej w południe odbędzie się w sali Towarzystwa muzycznego drugi koncert zwyczajny galic. Towarzystwa muzycznego pod kierunkiem nowego dyrygenta p. Jana Galla.

Konkurs. Nadprokuratorja państwa w Krakowie ogłasza konkurs na obsadzenie opróżnionej posady zastępcy nadprokuratora państwa w Krakowie w VIII klasie rangi, a względnie zastępcy prokuratora państwa w okręgu sądu krajowego wyższego również VIII rangi.

W Warszawie odbył się we czwartek — jak nam donoszą — ślub p. Bogumiła Folanda, wicedyrektora teatrów warszawskich, z panną Marją Lucańską, córką radcy stanu, b. naczelnika wydziału w magistracie warszawskim.

† Filip Sulimierski, zaszczytnie znany pracownik na niwie poważnej literatury ojczystej, zmarł onegdaj w Warszawie w 42 roku życia. Urodził się w r. 1843 w Sieradzu z dawnej rodziny wielkopolskiej herbu „Starykoń," uczęszczał do gimnazjum w Piotrkowie, następnie ukończył szkołę główną warszawską.

Poświęciwszy się wyłącznie publicystyce zasilał artykułami swego pióra: *Tygodnik ilustr.*, *Wędrowca*, *Gazetę handlową*, *Gazetę polską*, *Kurjera warszawskiego* i *Nowiny*. Przez lat kilkanaście zaś był redaktorem *Wędrowca*. Nadto pozostawił po sobie długi szereg przekładów dzieł Turgeniewa, Wiktora Hugo i Hackländera, największem zaś jego bezwątpienia dziełem pozostanie „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i ziem przyległych," który doprowadził do litery M.. a śmierć przedwczesna nie dozwoliła mu doprowadzić ukochanego dzieła do końca.

Z toru łyżwowego. Jutro po południu odbędą się na Szumanówce wyścigi łyżwiarskie. Na stawie przygrywać będzie muzyka wojskowa.

Przedstawienie amatorskie, które się odbędzie dzisiaj w Kasynie, jest ostatniem w tym karnawale. Scena bowiem ustawiona w sali ustąpić musi miejsca wieczorkom tańcującym i balom, których szereg rozpoczyna piknik Koła literackiego.

Kronika matrymonialna. Onegdaj pobłogasłowionym został w Wiedniu związek małżeński pomiędzy uroczą panną Dorą Gabillon, córką znakomitego artysty teatru dworskiego, a dr. Augustem Fournier, profesorem uniwersytetu praskiego.

A. E. Odyniec, o którego niebezpiecznym stanie zdrowia donosiliśmy przed kilku dniami, ma się znacznie lepiej i (jak piszą dzienniki warszawskie) nie grozi mu już żadne niebezpieczeństwo.

Występy Heleny Modrzejewskiej już się rozpoczęły w Warszawie. Nie potrzebujemy dodawać, że publiczność tłumnie zapełnia przedstawienia. Cała prasa warszawska z uwielbieniem rozpisuje się o znakomitej artystce, której talent i urok nie utraciły nic ze swej mocy. Jaka szkoda, że nam nie było dane podzielić się temi wrażeniami!

Pomnożenia proletarjatu teatralnego można się znowu spodziewać po zapowiedzi utworzenia „szkoły dramatycznej" w Warszawie przez któregoś z „weteranów sceny", jak się wyrażają pisma warszawskie. Nie jestto pesymistyczna uwaga, gdyż wiadomo, że celem tych szkół jest nie wykształcenie zastępu inteligentnych i zdolnych artystów, ale zabezpieczenie kawałka chleba kierownikowi, który ze względu na opłatę wpisową przygarnia młodzież rozpróżniaczoną, pozbawioną nieraz wszelkich warunków na scenę.

Kronika karnawałowa. Z balów publicznych, które się w tym karnawale odbędą, zapowiedziano już następujące:

Dnia 26. b. m. bal na dochód stowarzyszenia „Pracy kobiet";
dnia 28. b. m. bal akademicki;
dnia 1. lutego bal na dochód szpitalika i
dnia 7. lutego bal Towarzystwa muzycznego.

Oprócz powyższych balów zapowiedziano nadto piknik literacko-artystyczny dnia 17. b. m., wieczorek młodzieży handlowej dnia 7. lutego i wieczorek kostjumowy w Towarzystwie „Frohsinn" dnia 14. lutego. W Narodnym domu zaś odbędą się dwa bale ruskie.

Szematyzm król. Galicji i Lodomerji na rok 1885 opuścił prasę i z dniem dzisiejszym oddany już został do użytku publicznego.

Z teatru. Od kilku dni występuje na scenie lwowskiej poprzedzona sławą amerykańska śpiewaczka, panna Ella Russel. — Dotychczas śpiewała w „Fauście" i „Trawiacie", dziś występuje w „Rigolecie." Dalecy od pesymistycznego wyszukiwania plam, ale również i od owczego bezmyślnego zachwytu, przyznać musimy, że jakkolwiek p. Russel nie należy do rzędu tych śpiewaczek, które jak gwiazdy pierwszorzędnej wielkości olśniewają publiczność, przecież zadowolić może wymagania znawców, a bez wątpienia jest najlepszym nabytkiem w tegorocznym sezonie operowym. Na powodzenie jej składają się harmonijnie złożone przymioty głosu dźwięcznego, dobrej szkoły i gry artystycznej, co wszystko razem dopełnia nader ujmująca powierzchowność.

Zapiski policyjne. S k r a d z i o n o: P. Henryce J. popielaty duży szal war. 15 złr. z ganku p. l. 18 ul. Krasickich, — Iwanowi Mus gospodarzowi gruntu w Sichowie parę koni, mianowicie klacz jasno czerwoną z siwą gwiazdką na czole 10-letnią i konia maści żółtawej z czarną grzywą, świeżo kutego, na tylne nogi utykającego, wartości 100 złr.

Z g u b i o n o: Worek zawierający 10 bochenków chleba. — Kartkę zastawniczą do L. 2302 tutejszego Zakładu zast. i kredyt. na suknię za 3 złr. zastawioną i trzy kluczyki wertheimowskie oznaczone numerem 11594.

Z n a l e z i o n o: Książkę służbową Marji Pażeckiej z Bartatowa, kartkę zastawną ruskiego banku z dnia 19. kwietnia b. r. L. 16524 na płaszcz, za 1 złr. 50 ct. zastawiony.

P r z y d y b a n o: Na ul. Halickiej konia karego z gwiazdką białą na czole i karą klacz zabłąkane, i oddano do miejskiego komisarjatu 1. dzielnicy.

Statystyka policyjna za miesiąc grudzień 1884. W miesiącu grudniu 1884 aresztowała c. k. policja: Za podejrzenie morderstwa 1 — za kradzież 165 — rabunek 2 — oszustwo 7 — sprzeniewierzenie 6 — ukrywanie zbiega wojskowego 1 — publiczne zgorszenie 1 — zamach samobójczy 1 — obrazę władzy urzędowej — gwałt publiczny 3 — zbiegnięcie z aresztów 2 — niedozwolony pobyt w kraju 1 — obrazę straży 9 — uszkodzenie cielesne 6 — uszkodzenie cudzej własności 101 — burdy 40 — żebranie 12 — dręczenie zwierząt 8 — przekroczenie regulaminu, mianowicie dorożkarskiego 32 — służbowego 10 — prostytucji 13 — za grę hazardową 3 — włóczęgostwo 180 — odstawiono do policji ze Sądów po odbytej karze 148 — do tymczasowego przytrzymania przystawiła c. k. Żandarmerja za knowania socjalistyczne 2 — za inne przekroczenia 2 — razem aresztowano 763.

Z tychże odstawiono do c. k. Sądu kraj. kar. 61 — do c. k. Sądu powiat. 225 — do Magistratu do wyszupasowania 106 — do zbadania przynależności i do robót przymusowych 53 — oddano do szpitala kraj. na słabości kiłowe 17 — na świerzb 1 — na inne słabości 7 — policyjnie ukarano 293.

(=) **Kraków** dnia 9 stcznyia. (Koresp. *Przegl.)* Na pomnik Adama Mickiewicza nadesłał do rąk Prezydenta dr. Szlachtowskiego p. Gasztowt z Paryża kwotę 390 franków czyli 189 złr. 93 ct. jako składkę zebraną przy sposobności obchodu Mickie-

wiczowskiego przez Stowarzyszenie byłych uczniów szkoły polskiej Batyniolskiej i Towarzystwo filharmoniczne polskie w Paryżu. Piękny to związek z myślą przez kraj podjętą.

— Na pogrzeb ś. p. biskupa tarnowskiego bar. Pukalskiego odjechał dzisiaj rano z Krakowa ks. biskup Dunajewski.

ROZMAITOŚCI.

— **Najmodniejsze mufki,** świeżo z nad Sekwany przytransportowane, ukazały się już w handlach. Pokrycie tych mufek składa się z czterech części, mianowicie z dwóch kawałków aksamitnych i z dwóch atłasowych. ukośnie ułożonych, koloru czarnego. Na aksamitnych kawałkach znajdują się wyobrażenia piesków i kotków. wyszywanych kolorowym jedwabiem, z wprawionemi szklannemi oczami,

— **Zamiast chleba!** W Stanie Nowojorskim znajduje się wiele młynów, przerabiających miękkie gatunki drzewa, przeważnie topole, na bardzo delikatną mąkę, którą trudno odróżnić od mąki wyrabianej z pszenicy. Właściciele młynów zapewniają, iż mąka ta sprzedawaną jest jedynie Indjanom i armii, która się podobno na ten przysmak nie żali.

— **Studja o Szekspirze** skreślone piórem słynnego tragika Ernesta Rossi, zjawią się niebawem w osobnej książce we Florencji.

— **Sudańczycy w Paryżu.** Mały oddział sudańczyków, złożony z ośmiu mężczyzn i dwóch kobiet, przybył do Paryża, sprowadzony przez p. Lagrange. Sudańczycy ci, którzy brali udział w bitwach pod El-Tib, Tamajeb i Tikor, należą do pokolenia Akadadnas. Zachowali oni swój kostjum; pokażą się wkrótce na wieczorze, specjalnie uorganizowanym dla prasy, w sali *des Arts liberaux.*

— **W Baltimore** otwarty zostanie 1. lipca rb. uniwersytet katolicki. Na wydziale teologicznym — z zapisu pani Cadwall z St.-Louis — urządza się katedrę języka polskiego dla alumnów, którzy mają obsługiwać naszych rodaków. Testatorka, niedawno zmarła, pochodziła z okolic Krakowa.

— **Dziennikarski figiel.** Niemałe wzburzenie w hiszpańskiej prasie wywołało następujące najświeższej daty zdarzenie.

Pomiędzy Hiszpanją a Stanami Zjednoczonemi Ameryki zawarty został układ handlowy, którego tekst miał przez czas pewien pozostać w tajemnicy. Tymczasem wydawca słynnego *New-York-Times*'a postanowił tekst rzeczony ogłosić w swoim dzienniku przed pojawieniem się jego w oficjalnych rządowych doniesieniach. W tym celu wynajduje on w Madrycie pewną w hierarchji społecznej wysoko postawioną osobę i telegrafuje do hr. X. w ten sposób; „Czy możesz pan dostać tekst układu i ile to będzie kosztowało?“ W dwadzieścia cztery godziny potem otrzymuje odpowiedź: „Mam tekst w ręku. Telegrafujcie, czy wystarczy wyciąg, bo tekst bardzo długi. Wyznaczcie bankiera, który za depesze tu zapłaci. Dla mnie 2000 pesos.“ Wydawca *Times*'a pędzi do bankiera Belmonta, każe pieniądze drogą telegraficzną awizować na Madryt i odpowiada hrabiemu: „Przyślij pan najważniejsze ustępy aż do 8000 słów. Wiswillier i Boner zapłacą 2000 pesos i koszta depesz. Tekst powinniśmy mieć dziś w nocy. W niedzielę już powinien być w dzienniku.“ — Jak się rzekło, tak się stało. Przez całą sobotę i przez noc na niedzielę odbierano telegramy, tłumaczono i drukowano, a w niedzielę przed południem jeszcze *Times* ogłosił tekst układu, który miał przez tydzień jeszcze pozostać rządową tajemnicą. Za same depesze zapłacił dziennik 24.000 franków.

— **Na premję** tegoroczną dla członków Towarz. Sztuk Pięknych w Krakowie przeznaczono olejną odbitkę z głośnego obrazu p. t. „Skazana“ pędzla młodego artysty pana Władysława Rossowskiego.

— **Nowa kolenda w Paryżu.** Jedną z inwencyj tegorocznych jest fałszywa pięciofrankówka z tektury, naśladującej srebro, którą sprzedają z tym szczególnym anonsem: „*Voyez les étrennes du concierge!*“ „Pięciofrankówka za dwa sous!“ Niewiadomo, czy odźwiernym przypadnie do gustu ten żarcik, lecz niewątpliwie wywołuje on szczery śmiech publiczności. Odźwierny jesz (zarówno jak świekra) jednym z tyranów domowych, o których tłum z pewnością zawsze coś nieprzyjemnego słyszy. Odźwierny i fiakier, to dwaj autokraci, równie potężni. Żadna rewolucja ich nie dotyka i nie ma cesarza bardziej wszechwładnego jak odźwierny, który się gniewa na lokatora. lub woźnica, szydzący z piechurów w dzień słotny. Wynalazcy fałszywych pięciofrankówek na użytek odźwiernych popełniliby zresztą monstrualną niedorzeczność, podpisując dzieło; nie znaleźliby w całym Paryżu jednych drzwi otwartych; nieubłagani odźwierni pozostawiliby ich na ulicy.

Bo też stanowią oni prawdziwą siłę w Paryżu, a grają w jego życiu codziennem tak wielką niemal rolę, jak szynkarze w polityce. Szynkarz trzyma czasami w ręku losy reprezentanta ludu, lecz odźwierny reputację, kredyt i honor lokatorów: słowem wszystko jest na jego dyskrecji. Plotkarstwo jego równie jest groźne, jak propaganda szynkarza.

I dlatego impresarjorowie sławni w rocznikach dziennikarstwa ludowego zapytywali zawsze autora romansów, przynoszącego im nową powieść: „Czy jest odźwierny w Pańskiej powieści?“ Odźwierny? Jakto odźwierny? „Tak, odźwierny; rozumiesz pan, odźwierny sympatyczny, heroiczny, sentymentalny, jeśli chcesz, ale uprzejmy! Odźwierny, mogący powiedzieć wszystkim innym odźwiernym Paryża: Czytaj nowy romans pana ***. Jest tam ktoś ślicznie opisany!“

Otóż tyranja odźwiernego ulega raz na rok chwilowemu złagodzeniu — w epoce Nowego Roku. Zdobywa on się na nagłe grzeczności, nieprzewidziane poświęcenia. Kolenda, tak nudna dla wszystkich innych, ma to w sobie dobrego, że stanowi datę corocznego rewanżu lokatora nad odźwiernym. Podczas drugiej połowy grudnia rząd odźwiernego staje się parlamentarnym, po pierwszym stycznia powraca do despotycznej formy. Owe więc pięciofrankówki — prawdziwie szatański wynalazek — mogą ich uczynić tyranami na zawsze.

— **Biesiada złodziei.** Wielce oryginalna biesiada — pisze dziennik *Temps* — jaka się corocznie przed świętami Bożego narodzenia powtarza w Londynie, odbyła się w tych dniach w dzielnicy Drury Lane. Była to tak zwana *a thieves supper,* biesiada złodziei, spożyta — nie naprędce, o szarej godzinie, w jakiej opustoszonej ruderze wśród zimna i strachu przed policją, ale — jako wspaniała oficjalna uczta, urządzona w umyślnie na ten cel najętej sali, oświetlonej żyrandolami i uroczyście przystrojonej flagami i wieńcami.

Bankiet ten był zapowiedziany z góry przez dzienniki i nazwany w nich, bez wszelkich omówień lub fałszywego wstydu „Biesiadą złodziei.“

Do uczty zasiadło dwustu zaproszonych, więcej ich bowiem sala pomieścić nie mogła; a był tam sam kwiat najniebezpieczniejszych łotrów i rzezimieszków, dobrze znanych policji.

Każdy bankiet, zwłaszcza w Anglji, musi mieć przewodniczącego. Dostojne towarzystwo, zebrane w sali *Little Wild Street* nie odstąpiło od tego zwyczaju. Trudno jednak byłoby odgadnąć, kto ma zaszczyt przewodniczenia panom złodziejom podczas ich uczty. Ni mniej ni więcej tylko sir Ford North, jeden z sędziów najwyższego angielskiego trybunału. A pomiędzy zaproszonymi gośćmi znajdowali się: lord burmistrz Londynu, wielu sędziów, komisarzy policji, dyrektorów więzień itp. Brakowało tylko kata.

Biesiada odbyła się przyzwoicie i wśród ogólnej wesołości. Przewodniczący i lord burmistrz przemawiali do obecnych, wygłaszając słowa pobłażania i przebaczenia; jakiś dozorca więzienny rozweselił towarzystwo humorystycznym swym *speech*'em; stary złodziej emeryt z rozrzewnieniem dziękował dostojnym osobom, które obecnością swoją dodały blasku tej uroczystości, a przemówienie swoje przeplatał częstemi wyjątkami z biblji.

Na zakończenie wszyscy uczestnicy odśpiewali chórem, stojąc z odkrytemi głowami, hymn narodowy *God save the queen.*

Coroczny bankiet — powiada *Temps* — nie jest tak śmiesznym, jakby z pozoru sądzić można. Celem jego jest zwrócenie uwagi ogółu na stowarzyszenie filantropijne, zajmujące się złoczyńcami wypuszczonymi z więzień po odsiedzeniu kary. Dobrze myślący filantropi zrozumieli, że od pierwszych kroków, jakie postawi wyzwolony więzień, zależy nieraz cała dalsza jego przyszłość. Czekają tu na niego u wrót domu karnego i zapraszają go przedewszystkiem na śniadanie. Nakarmiwszy go, dodawszy mu otuchy i zachęciwszy do poprawy, usiłują dostarczyć mu zajęcia. Bardzo często natrafiają na niepoprawnych łotrów, którzy zjadłszy śniadanie, wracają do dawnego rzemiosła; niejednego wszakże dobrem słowem i pomocą w pracy zdołano zwrócić na lepszą drogę.

Według raportu rocznego o działaniu stowarzyszenia z 16718 więźniów wypuszczonych w roku 1883. z domów karnych w Londynie 12427 przyjęło ofiarowane sobie śniadanie; a jako dowód, że starania podjęte dla umoralnienia ich nie pozostały bezowocnemi, sekretarz stowarzyszenia pokazuje z dumą złoty zegarek, ofiarowany mu przez byłych złodziei, którym nastręczył uczciwe zajęcie.

— **Automatyczny sposób** przeładowywania poczty na pociągach kolei żelaznych. — Niedawno we Francji odbyły się w obecności ministra poczt pana Cochery próby przeładowywania pakietów pocztowych sposobem automatycznym, bez potrzeby zatrzymywania pociągów. System ten ciekawy polega przedewszystkiem na chwytaniu (podczas biegu pociągów) worków z depeszami i listami i składaniu ich w biurze pocztowem, a równocześnie na zabieraniu z biura takichże worków i wrzucaniu ich do pocztowego wagonu. Słowem jestto zamiana korespondencji między stacjami a pociągami bez zatrzymywania tych ostatnich. Dwa aparaty zostaną ustawione w punktach, w których pociąg pocztowy się nie zatrzymuje, i dopełnione mechanizmem, funkcjonującym w drzwiach wagonu pocztowego.

Pociąg pospieszny ma np. przybyć do stacji, na której się nie zatrzymuje. Przejeżdża więc naprzód przez dwie metaliczne listwy poprzeczne, zwane ostrzegaczami *(avertisseurs).* Ostrzegający ten przyrząd połączony jest drutem elektrycznym na 700 metrów odległości ze stacją i daje znak dozorcy mającemu odbierać i oddawać worki pocztowe. Skoro tylko dozorca jest uwiadomiony, zawiesza na rodzaju szubienicy worek mający być oddany na pociąg.

Gdy wagon pocztowy przebiega, wtedy dozorca porusza rodzaj wideł i worek zostaje schwytany przez przyrząd umieszczony u drzwi wagonu pocztowego.

Jeśli zaś przeciwnie chodzi o oddanie worka pocztowego z wagonu na stację, wtedy urzędnik pocztowy zawiesza worek na zewnątrz wagonu na haczykach zbudowanych jak kurki od fuzji. Na stacji zaś znajduje się przyrząd, który odpina gwałtownym ruchem worek z wagonu i składa go w siatkę ze sznurów.

Próby tego przyrządu udały się w zupełności. Pociąg biegł stopniowo szybkością 60, 70 i 80 kilometrów na godzinę, a pomimo to przeładowywanie poczty udawało się wybornie.

— **Pijaństwo w Alzacji** przestrzegane jest przez władze miejscowe nie tylko bardzo surowo, lecz nawet w nader oryginalny, acz całkiem pruski sposób, jeżeli sądzić można z użytego w okolicy Thann pomiędzy Belfortem a Mühlhausen. Wszyscy merowie całej tej okolicy zaopatrzeni zostali w broszury, zawierające biografię i szczegółowy rysopis znanych pijaków. Broszury te rozdane zostały wszystkim utrzymującym oberże, hotele, szynkownie, kawiarnie i winiarnie, z surowem poleceniem nie sprzedawania obywatelom opisanym w tych książeczkach nic innego, prócz kawy i wody z cukrem.

Najzabawniejszem jest, że mieszkańcy nie wiedząc kto dostarczył władzy niemieckiej tak dokładnych wiadomości, rysopisów i znaków szczególnych, podejrzywają jeden drugiego i najlepsi przyjaciele, krewni, bracia wystrzegają się do tego stopnia, że chcąc wypić grogu lub *un petit verre* zamykają się u sienie w domu, szczelnie zapuszczając firanki. Biedni zaś szynkarze w całej okolicy są kompletnie zrujnowani.

Część ekonomiczna.

Kontrakty kijowskie, odgrywające niegdyś tak ważną rolę w życiu ekonomicznem i społecznem obywatelstwa zakordonowego, i dziś jeszcze ściągające z daleka bardzo wielu uczestników przeważnie ze świata handlowego, rozpoczynają się w przyszłą środę d. 14 b. m.

Sprawozdanie Izby handlowo-przemysłowej krakowskiej o targu zbożowym na Baranie i Kleparzu z d. 8 i 9 stycznia.

Dowóz zboża na wczorajszy targ na Baran wynosił przeszło 1,000 korcy zboża, po większej części pszenicy. Ruch i obrót były dość ożywione, a dowiezione produkta w niedługim przeciągu czasu zakupione zostały, głównie przez krakowskich kupców zbożowych.

Płacono za pszenicę za 237 funtów od 36·— do 39 złp.; żyto za 227 f. 30 do 32 złp.; jęczmień za 202 f. od 25 do 28 złp.

Innych produktów nie dowieziono.

W handlu zbożowym na targu kleparskim prawie żadna od Nowego roku nie zaszła zmiana; ceny bardzo małej uległy zmianie. Nieobecność zagranicznych kupców wpływa niekorzystnie na cały handel zbożowy.

Płacono za pszenicę żółtą za 100 kilogramów od 7·80—8·30 złr., czerwoną 8·— do 8·70, białą 8·— do 8·60, żyto piękne 7·25—7·40, pośled. 7·15 do 7·30, jęczmień piękny 7·50—7·70, pośled. 6·75 do 7·40, owies 7·— do 7·40, groch 8·75—11·—, fasola 10·— do 13·—, wyka 5·50—5·75, kukurudza —·— do —·—, proso 6·75—7·50, jagły 12·— do 13·50, tatarka 8·— do 8·25, rzepak 12·25—12·60, koniczyna czerwona 35·— do 45·—, biała 45·— do 60·— złr.

Konsumcja kartofli na kuli ziemskiej wynosi średnio 1,500 miljonów centnarów rocznie, w tej liczbie Niemcy produkują 470 miljonów, Francja 225, Rosja 220, Austro-Węgry 174, Anglja 128, Stany Zjednoczone 100, Belgja 45, Szwecja 32, Holandja 30 miljonów cent. Handel zewnętrzny kartoflami przedstawia rocznie wartość od 80—90 milj. centnarów.

Wiedeń 9. stycznia.

(Di.) Berlin potrzebuje ciągle silnej tendencji z powodu emisyj rosyjskich; toż samo Paryż dobrze oddziaływa, gdyż tam zwyżka rent podnosi w ogóle kursa. Mimo to targ wiedeński jeszcze ulega pewnym obawom z powodu pojawiających się tu i owdzie — lubo pomniejszych i odosobnionych — upadłości, a spekulacje także radeby gnieść kursa, tak że ruch nie postępuje naprzód, ale się też i nie cofa.

Dzisiaj kwestja Tryestu odezwała się przez zwyżkę südbanów; w ogóle kolejowe papiery i renty trzymały się silnie, lecz obrót słaby. Niższe notowania z Paryża wstrzymywały rozwój targu. Po południu w skutek kilku pomyślnych wiadomości o miejscowych instytutach mała zwyżka, ale obrót pozostał słaby.

Statystyka handlowa ilustruje bardzo wyraźnie fatalny stan targu zbożowego. W ubiegłym roku zmniejszył się bardzo znacznie wywóz z Austrji wszelkiego ziarna, nasion strączkowych i mąki. Tylko wywóz jęczmienia i słodu wykazuje nadwyżkę.

W dziesięciu miesiącach był wywóz pszenicy o 1,818.022 centn. metr. mniejszy. Wywóz owiec spadł z 726.988 na 524.944, wywóz świń z 157.089 na 108.435, wywóz spirytusu z 244.554 na 138.307 c. m. w porównaniu z rokiem 1883.

Potrzeby innych krajów były mniejsze z powodu dobrych urodzajów i zamorskich dowozów. Zwyżka cen, która już wczoraj doznała spadku, nie utrzymała się niestety dlatego, że powodem jej było nie wyczerpanie zapasów, ale sztuczna spekulacja w Nowym Jorku na haussę. Zwyżki doznały zresztą prawie wyłącznie tylko umowy terminowe, efektywna zaś sprzedaż w mierze nader nieznacznej. Jednakże można słusznie oczekiwać, że obecnie potrzeby konsumcji wewnątrz państwa się wzmogą; nadto zachodzi obawa nieurodzaju, jeżeli potrwa mróz wobec zupełnego braku śniegu w wielu okolicach i jeżeli dowozy drogą wodną ustaną.

Także i wywóz zaczyna się ożywiać, a wszystkie te czynniki powinnyby wpłynąć pomyślnie na podniesienie się cen. Tymczasem dziś był dzień zły.

Urzędownie notowano; Pszenica wiosenna 8.45 do 8.50, na czerwiec 8.55 do 8.60, jesienna 8.97 do 9.02, żyto wiosenne 7.35 do 7.40, na czerwiec 7.45 do 7.50, jesienne 7.55 do 7.65, kukurudza 6.15 do 6.23, na sierpień 6.30 do 6.35, owies wiosenny 7 do 7.05, na czerwiec 7.08 do 7.13, jesienny 6.80 do 6.90, rzepak na sierpień-wrzesień 13.30 do 13.40.

Spirytus 27.

Na targu bydła w skutek znacznego spędu mała zniżka. Spędzono 3012 cieląt, 4234 świń, 431 owiec, 476 jagniąt. Cielęta płacono 36, 54 do 60 prima, prosięta 34 do 40, świnie 44, 46 do 48 prima, owce 40 do 50 ct. za kilogram; jagnięta 6 do 13 zł. za parę.

Sprawa inkameracji kolei czerniowieckiej zaczyna wkraczać w stadjum prawdopodobieństwa, gdyż pod względem zakupna przez rząd rumuński tamtejszej części postawiło 101 deputowanych wniosek, który zapewne przyjętym zostanie. Przyjdzie więc następnie kolej na część austrjacką.

Konsulat austrjacki w Lizbonie ogłasza telegraficznie, że w skutek wielkiego urodzaju wina zabrakło tam zupełnie klepek na beczki, że zatem otwiera się widok na handel sztab dębowych do Portugalji, jeżeli konjunktura szybko wyzyskaną zostanie.

Ostatnie wiadomości.

JEks. Pan Namiestnik wyjechał wczoraj do Tarnowa na pogrzeb ś. p. biskupa Pukalskiego, który się tam dziś odbywa.

Z Prus Zachodnich donoszą do *Germanii*, że pewnemu nauczycielowi elementarnemu w poznańskiem, dopraszającemu się u pana inspektora szkolnego, aby naukę czytania polskiego dla dzieci wyłącznie polskich powiększył z *jednej* godziny *na dwie* tygodniowo, — odpowiedział tenże pan inspektor: *„das Polnische ist ein Unsinn!“*

Ta odpowiedź rzuca charakterystyczne światło na panujące w poznańskiem stosunki. Odsłania ona z całym cynizmem, właściwym butnym urzędnikom pruskim, zapatrywania ich na prawno-polityczne stanowisko Polaków w państwie niemieckiem. Od przeszło sześćdziesięciu lat rząd pruski stara się wszelkiemi możliwemi środkami zgermanizować księstwo poznańskie, mimo jednak tych z górą półwiekowych eksperymentów poczucie narodowości i świadomość obywatelskich obowiązków wzrosły w społeczeństwie poznańskiem. Powinnoby to być wskazówką dla berlińskiego rządu, że nie tędy wiedzie droga do zjednania sobie przychylności poddanych. Poniesiono niepotrzebnie ogromne koszta, których z większym skutkiem na inne można było użyć cele; wyżłobiono koleje fałszywego systemu, który bądź co bądź trzeba będzie porzucić; stracono zaufanie ludności; poniesiono moralną klęskę i kompromitacją, a w końcu wskazano na Polaków, jako na jedynych wrogów europejskiego spokoju, posunięto się do oczernienia ich jako wichrzycieli zgody między trzema mocarstwami. I cóż systemem tym osiągnięto w poznańskiem? Oto — gorycz, nieufność do rządu, obojętność dla dynastji z jednej strony, a z drugiej — skrępowano ekonomiczny rozwój tak bogatej z natury prowincji.

Cesarz zatwierdził wybór p. Władysława Czajkowskiego, właściciela dóbr Medwedowce prezesem i Dr. Edwarda Krzyżanowskiego, lekarza w Buczaczu, zastępcą prezesa Buczackiej Rady powiatowej; tudzież wybór Edmunda Lityńskiego, właściciela dóbr Litwinów, prezesem i Kazimierza Zaremby, dzierżawcy Uhrynowa, zastępcą prezesa Rady powiatowej w Podhajcach.

Na piątkowem posiedzeniu zamianował Wydział krajowy Emila Sobka asystentem manipulacyjnym. Na tem posiedzeniu rozdał Wydział krajowy stypendja z fundacyj, pod jego zarządem zostających.

Telegramy biura korespondencyjnego.

Berlin 10. stycznia. Komisja państwowa dla projektu subwencjonowania parowców, przyjęła 10 głosami przeciwko 8, wniosek wybrania podkomisji, któraby naradziła się nad sposobem zfinansowania i ułożyła warunki uchwalić się mającej ustawy. Przy tej sposobności oświadczył Bötticher, iż w razie uchwalenia proponowanej ustawy, ułożony będzie regulamin, któremu każdy przedsiębiorca nawigacyjny będzie musiał się poddać pod pewnemi warunkami, a mianowicie że dopiero po odbytej podróży otrzyma subwencję. W końcu zaprzeczył Bötticher pogłosce, jakoby rząd niemiecki zamierzał zwołać ankietę w celu rozstrzygnięcia kwestji, czy należy Tryjest czy też Genuę przyjąć za port wypływowy nawigacyjnych linij niemieckich.

Berlin 10. stycznia. Urzędownie donoszą, iż stojące pod Kamerunem dwa okręty „Bismark“ i „Olga“ rozprószyły dnia 20, 21 i 22 grudnia powstańcze oddziały murzynów kameruńskich. Wielu dowódzców i wojowników zginęło, uciekło lub dostało się do niewoli. Pobliskie wioski zburzono do szczętu. Ze strony niemieckiej zginął jeden majtek, oprócz tego zostało czterech ciężko a czterech lekko rannych żołnierzy. Wywieszono napowrót flagę niemiecką i przywrócono porządek. Cesarz polecił wyrazić załodze uznanie swoje.

Wiedeń 10 stycznia. Zgromadzenie dolnoaustrjackiego Stowarzyszenia handlowego, w którem wzięło udział wielu oficerów marynarki, między innymi komendant marynarki Sterneck. kontradmirał Eberon, a z ministerstwa handlu szef sekcji Barauth, powzięło po zajmującej debacie jednomyślnie uchwałę wysłania do ministerjum handlu petycji z prośbą o wyrobienie. ażeby Tryjest został wybrany stacją główną dla nawigacyjnych niemieckich linji.

Wiedeń 10. stycznia. Policja wykryła, że sprawcą dokonanych 16. i 25. października morderstw na tandeciarce żelaza Schinke i pisarzu Koestlerze (?) jest czeladnik mosiężniczy niejaki Navratil. Zbrodniarz po dziesięciogodzinnem przesłuchaniu przyznał się do winy.

Paryż 10. stycznia. *Temps* donosi: Między gabinetami: paryskim, wiedeńskim, berlińskim i petersburskim odbywają się narady co do identycznej odpowiedzi na propozycje angielskie w kwestji egipskiej. Doręczenie odpowiedzi ma nastąpić około połowy stycznia.

Konstantynopol 10. stycznia. Pogłoski o dymisji Wielkiego Wezyra są zupełnie nieuzasadnione.

Telegramy „Przeglądu“

na własnym drucie.

Wiedeń 10. stycznia. Na konferencji dyrektorów austrjacko-pruskiego taryfowego związku kolejowego w Frankfurcie okazali reprezentanci pruskich kolei wielką dla Austrji uprzejmość.

Postawione w swoim czasie przez koleje niemieckie żądania, aby zmienić przepisy instradycyjne — zostały na konferencji cofnięte, natomiast wzięto odnośne propozycje austrjackie za przedmiot obrad szczegółowych. Obrady mają być zakończone na następnej konferencji, która się odbędzie z końcem stycznia. Jeżeli nadzieje nie zawiodą i reprezentanci pruskich kolei będą nadal równie uprzejmi, to ułożenie nowego układu kolejowego zostanie we wszystkich szczegółach opracowane przed terminem wypowiedzenia układu, obowiązującego obecnie, a tym sposobem dalsze prowizoryczne przedłużanie teraźniejszego układu okaże się zbytecznem.

Wiedeń 10. stycznia. Petycja, którą za inicjatywą *Correspondenzblattu für katholischen Clerus Oesterreichs* podpisywali księża katoliccy, a która się domaga od rządu uregulowania kongruy, zostanie natychmiast po zebraniu się Rady państwa wniesiona do parlamentu. Petycja ta zaopatrzona blisko w 4.000 podpisów.

Wiedeń 10. stycznia. *Oesterreichische Correspondenz* donosi, że ze strony właściwej dane zostało zapewnienie, iż sprawa kongruy przyjdzie niebawem po ferjach pod obrady parlamentu i że znane sprawozdanie wydziału zostanie postawione na porządku dziennym jednego z pierwszych posiedzeń w miesiącu lutym.

Wiedeń 10. stycznia. Dolno-austrjackie stowarzyszenie przemysłowe postanowiło wystosować petycję do ministra handlu z prośbą, aby się udał do ministra spraw zewnętrznych i wyrobił to, ażeby Triest został głównym punktem wyjścia dla niemieckich nawigacyjnych linji idących do Aleksandrji. W ciągu debaty napadano mocno na austrjacki Lloyd, a Banhans oświadczył, że trzy są instytucje, które wywołują przemysłowy, handlowy i rolniczy upadek Austrji tj. kolej północna, Towarzystwo żeglugi parowej na Dunaju i Lloyd.

Wiedeń 10. stycznia. Policja zaaresztowała niejakiego Antoniego Koestlera, który w przeciągu tygodnia popełnił dwa morderstwa, oba połączone z rabunkiem.

Berno 10. stycznia. Komitet wyborczy dla wyborów do Izby handlowej uchwalił wnieść do trybunału administracyjnego zażalenie z powodu unieważnienia dokonanych do tej Izby wyborów a zarazem wysłać petycję do rządu, ażeby aż do rozstrzygnięcia tej sprawy przez trybunał, zasystował nowe wybory. Komitet w swej uchwale oświadcza, iż deputowanym z prawicy pozostawia wolność interpelowania rządu co do sprawy wyborów berneńskich.

Madryt 10. stycznia. W prowincji Malaga dały się uczuć ponowne trzęsienia ziemi. Prowincja Granada została przez mieszkańców opuszczona. Poziom terenu we wsi Guejevar obniżył się o 22 metrów. Mnóstwo rzek i rzeczułek zmieniło swe łożyska.

Obiega pogłoska, że poseł hiszpański przy rządzie francuskim, p. Bilvelo, podał się do dymisji, obrażony za nietaktowne zachowanie się prasy francuskiej w sprawie projektu urządzenia w Paryżu festynu na rzecz tych rodzin hiszpańskich, które padły ofiarą trzęsienia ziemi.

Bruksela 10. stycznia. Doniesienie *Etoile belge* o wymordowaniu expedycji, która się udała do Kongo pod dowództwem Beckera uważają tu powszechnie za mylne. Towarzystwo afrykańskie nie otrzymało o tym fakcie żadnej zgoła wiadomości.

Rzym 10 stycznia. *Italia militare* podaje, że wojska przeznaczone do Assabu wsiądą na okręt 14. stycznia w Neapolu.

Berlin 10. stycznia. Biuro Wolffa zaprzecza pogłoskom o niepomyślnym stanie zdrowia cesarza. Owszem — donosi ono — cesarz zajmował się wczoraj jak zwykle z rana sprawami państwa.

Berlin 10. stycznia. Pogłoska, jakoby rząd miał zwołać ankietę dla zastanowienia się nad tem, czy Genua, czy też Tryjest jest korzystniejszym punktem wyjścia dla subwencjonowanych niemieckich linji jest nieuzasadnioną. W sferach dobrze poinformowanych uważają taką ankietę za zbyteczną.

Bukareszt 10. stycznia. Zarząd kolei lwowsko-czerniowieckiej zgadza się już na to, aby rząd rumuński wykupił tę część kolei, która się znajduje w granicach Rumunji, żąda jednakże aby wykupno odbyło się na podstawie kapitalizacji akcjonarjuszów w formie tej, jaką ustawa zagwarantowała, to jest aby w zamian za akcje wydano im rentę niosącą 7½ procentu. Jakie stanowisko w tej sprawie zajmie rząd rumuński trudno dociec z dotychczasowego jego zachowania się. Zbliża się jednak już chwila, w której będzie musiał stanowczo wypowiedzieć swe zdanie. Rozwiązania tej kwestji, dotykającej wielu interesów prywatnych oczekują tutaj z wielką niecierpliwością.

Tryjest 10. stycznia. W okolicach Modeny panuje ogromne wzburzenie umysłów z powodu świeżo dokonanych zbrodni agrarnych. W St. Martino nieznany człowiek podburzył ludność miejscową i nakłaniał ją do walki na noże przeciw posiadaczom dóbr. Banda chłopów w liczbie 500 porozsyłała listy z pogróżkami do właścicieli ziemskich. W Cesolo otoczono pewną posiadłość dworską, poustawiano dokoła stosy drzewa, pozapalano je i żarzące się głownie poczęto rzucać na dwór, w którym się zamknął właściciel z rodziną.

Berlin 10. stycznia. Przy obradach w parlamencie nad pozycją budżetu, przyznającą według przedłożenia rządowego 150.000 marek jako pomoc na zbadanie Afryki centralnej, a którą to sumę zdaniem komisji należy okroić o całe 50.000 marek, oświadcza Bismark: „Inne narody nie będą z pewnością czekały z kolonizacją, aż my okolice zbadamy; tu trzeba się spieszyć na gwałt. Dążenia kolonizacyjne Niemiec znalazły żywy odgłos w całym narodzie i dlatego możemy mieć nadzieję, że parlament, jako przedstawiciel opinji publicznej, poprze rząd i przywróci do budżetu to, co komisja okroiła; wszak chodzi tu tylko o zbadanie handlowych i rolniczych stosunków Afryki. Politykę kolonjalną możemy prowadzić tylko wtedy, jeżeli rząd będzie miał za sobą zapałem owianą, narodową większość parlamentarną, — bez niej zadowoli się rząd tem, że miał najlepsze chęci. W końcu oświadcza się Bismark przeciw odesłaniu wniosku do komisji. Po nadzwyczaj ożywionej dyskusji odesłał parlament wniosek w imiennem głosowaniu napowrót do komisji, a to 135 głosami przeciw 128. Bötticher nazwał odesłanie do komisji niepotrzebnem, albowiem komisja nie ma żadnych nowych danych do powtórnego badania tej sprawy; rząd nie szuka, dodał on, konfliktu, lecz porozumienia i zgody z parlamentem.

Berlin 10. stycznia. W parlamencie niemieckim nie przyszło także i dzisiaj jeszcze do debaty nad Kamerunem, jakkowiek całe posiedzenie poświęcone było polityce kolonialnej. Dyskusja obracała się około tego, czy przyzwolić na wydatek 150.000 marek na cele zbadania Afryki środkowej, czy też obciąć przedłożenie rządowe? Komisja parlamentu uważała za właściwe w swoim sprawozdaniu okroić trzecią część tej sumy.

W obronie przedłożenia rządowego zabrał głos Bismark i w mowie swej położył głównie nacisk na nieodwołalną potrzebę dla Niemiec prowadzenia polityki kolonialnej w szerokim stylu. Tu trzeba się spieszyć, rzekł on, i to spieszyć się na gwałt, bo jesteśmy w tyle za wszystkiemi innemi mocarstwami. Jakkolwiek Bismark kilkakrotnie głos zabierał w obronie przedłożenia rządowego, jednakowoż większością siedmiu głosów uchwalono ostatecznie odesłać wniosek napowrót do komisji.

Rzym 10. stycznia. *Diritto* przynosi w dzisiejszym numerze bardzo ostry artykuł w sprawie wydalonego z Berlina Cirmeni'ego (berlińskiego korespondenta tego pisma). W ustępie końcowym mówi *Diritto:* „Książę Bismark może żądać, aby korespondenci dzienników zagranicznych zachowali się umiarkowanie i z taktem, ale nie ma prawa domagać się od nich, aby przepisywali w swych korespondencjach *Norddeutsche Allgemeine Zeitung.* Poseł Chiala, członek stronnictwa rządowego, zainterpeluje w Izbie Manciniego w sprawie Cirmeniego.

Berlin 10. grudnia. Na wczorajszem posiedzeniu konfarencji afrykańskiej uchwalono zredakować protokół, pod którym podpiszą się wszyscy reprezentanci mocarstw, biorący udział w konferencji. Protokół ten będzie miał poniekąd wartość traktatu.

Praga 10. stycznia. Umarł wczoraj słynny zoolog, dr. Fryderyk Stein.

Berlin 10. stycznia. *National Ztg.* ostro występuje przeciw twierdzeniu *Daily News,* że Niemcy kopią dołki pod Gladstonem.

Paryż 10. stycznia. Dzienniki donoszą, że w kołach poselskich postanowiono wnieść we wtorek, zaraz po otwarciu Izby, interpelacją do rządu co do ceł zbożowych, jakoteż w sprawie egipskiej i tonkińskiej.

Panama 10. stycznia. W czterech wewnętrznych Stanach rzeczypospolitej panamskiej wybuchło powstanie. Z Panamy wysłano wojska do Canca. Powstańcy rozbili wojska rządowe pod Junga. Obawa jest, że wybuchnie powstanie w całej rzeczypospolitej. Jenerał Santo Domingo Vila ogłoszony został wczoraj przez powstańców prezydentem Panamy.

Londyn 10. stycznia. Rząd Nowej Zelandji zaproponował zaanektować wyspy Samoa. Parowce czekają, wojsko w pogotowiu, chodzi tylko o decyzję Derby'ego.

Telegramy zbożowe dnia 9. stycznia.

Peszt pszenica wiosenna 8.25—27. *Berlin* spirytus 41·90, olej rzepakowy 51·80, *Paryż* mąka 45·50. *Wiedeń* pszen. 8·50—9, spiryt. 26·75—27.

Kurs giełdy wiedeńskiej.

Wiedeń, dnia 10. stycznia 1885

godzina 10 minut 30 przed południem.

Akcje kredyt.	294·40	Anglo-austr.	97·75
Kolej Kar. Lud.	265·—	Kolej połudn.	148·60
Unionsbank	74·—	Napoleondor	9·78
Rosyjs. bankn.	1·28½	Usposobienie: spokojne.	

godzina 1 minut 50 po południu.

Alpiny	43·50	Węg. akcje kr.	305·50
Anglo-austr.	97·50	Unionsbank	74·—
Kolej Kar. Lud.	265·—	Nordbahn	237·25
Kolej połud.	148·40	Kolej Alföld.	181·75
Kolej państw.	299·—	Kolej lw.-czern.	201·—
Węg. Nordostb.	172 50	Wied. Comunal	125·25
Węg. obl. p. zł.	105·50	Elbetal	175·50
Węg. cis. losy r.	118·20	Losy tureckie	21·—
Renta węg. 4%	96·12	Bankverein	100·75
Ros. rubel pap.	1·28½	Losy węgierskie	116·50
Galic. indemn.	101·75	Marki niemiec.	—·—

Usposobienie: spokojne.

Paryż 9. stycznia. Renta 3% 79·56.

Kurs pieniędzy i papierów publicznych.

Wiedeń 9. Stycznia.

	płacą		żądają	
4²/₅% Renta papierowa austr.	82	50	82	35
4²/₅% „ srebrna „	82	35	82	50
4% „ złota „	104	75	104	95
5% „ papierowa (marcowa)	98	—	98	15
4% „ złota węgierska	96	15	96	30
5% „ papier. węgierska	91	45	91	60
4¹/₂% Ostbahnowe obligi	97	20	97	59
5% Obligi pożyczki kolej. węgier.	—	—	—	—
3⁸/₁₀% Losy z r. 1854 po 250 m. k.	125	75	126	50
4% „ „ 1860 „ 500 złr.	136	75	137	25
4% „ „ 1860 „ 100 „	143	—	143	50
„ „ 1864 „ 100 „	171	50	172	—
„ „ 1864 „ 50 „	170	—	171	—
Losy Como-Renten za sztukę	45	—	47	—
Bukowińskie oblig. ind. 10% podat.	102	—	102	50
Galicyjskie „ „ „ „	100	75	101	25
Akcje bankowe.				
Anglo-austrjackiego Banku 200 złr.	98	50	99	—
Boden-Credit austrjacki . 200 „	221	—	222	—
Credit-Anst. dla han. i prz. 160 „	294	10	294	40
„ Bank węgierski . 200 „	306	—	306	50
Depositen-Bank . 200 „	201	50	202	—
Escompt Gesell. niż. astr. 500 „	650	—	656	—
Länderbank . 100 „	99	50	100	—
Austr.węg. Banku . 600 „	865	—	867	—
Unionbank . 100 „	91	—	91	50
Verkehrsbank ogólny . 140 „	145	50	146	—
Wied. Bankverein . 100 „	101	50	101	25
Akcje kolejowe.				
Albrechta . 200 złr. bez %	—	50	—	—
Alföld-Fiume . 200 „ 5%	181	50	182	—
Donau-Dampfs.-Ges. 525 „ „	534	—	536	—
Elżbiety . 210 „ „	233	50	233	75
Linz-Budweis . 200 „ „	206	25	206	75
Salzburg-Tyrol . 200 „ „	196	75	197	25
Ferdynanda-Nordb. 1050 „ „	2347		2355	
Franciszka Józefa . 200 „ „	207	50	208	—
Gal. Karola Ludwika 210 „ „	264	75	265	25
Koszycko-Oderberg 200 „ 4%	148	75	149	—
Lwowsko-Czer.Jaska 200 „ 5%	199	75	200	25
Nordwest austr. . 200 „ „	170	25	170	75
„ Elbethal Lit.B. 200 „ „	176	25	177	75

	płacą		żądają	
Rudolfa. 200 złr. 5%	182	25	182	75
Siedmiogrodzka I. . 200 „ „	180	25	180	75
Staats-Eisenb.Ges. . 200 „ „	300	25	300	75
Südbahn (Lombardy) 200 „ „	147	20	147	50
Theisbahn (Cisańska) 200 „	249	50	249	90
Węg. gal. Lupkow . 200 „	174	25	174	75
„ Nord-Ost . 200 „ „	171	25	171	75
„ Westbahn . 200 „ „	174	25	174	75
Listy zastawne.				
4¹/₂% Banku krajowego	91	25	91	75
4¹/₂% Bod. Cred. allg. złotem płat.	122	—	122	50
4¹/₂% „ „ „ papier. 50 lat	97	65	97	85
3% prem. Bod. Credit. allg.	96	50	97	—
6% Zakł. kred. krakowsk. 18 lat	99	50	100	—
7% Listy dłużne „ 20 lat	99	60	100	10
6% Zakł. kred. krak. . 36 lat	99	50	99	75
5¹/₂% „ „ „ srebr. 36 lat	—	—	—	—
4% Gal. Tow. kred. ziem.	91	40	92	—
5% „ „ „ „ nowe 37 lat	99	50	100	—
4% „ „ „ „ „ 41 lat	87	—	87	75
6% „ Bank hipot. lwowski .	100	75	101	25
5% „ „ „ „ prem.	98	75	99	25
5% „ „ „ „ 40 lat	97	50	98	—
5% Bank austr. węg. (Nation.) w. a.	103	—	103	50
5% Szląs. aust. Bod.-Credit-Anstalt	—	—	—	—
5¹/₂% Węg. Instyt. Bod.-Credit .	101	75	102	50
4% „ Bank Hip. prem. .	100	50	101	—
Priorytety kolejowe.				
Albrechta . 300 złr. 5%	98	—	98	50
Alföld-Fiume . 200 „ „	100	20	100	50
„ „ Em. 1874 200 „ „	99	25	99	75
Donau-Dampfs. 100 200 „ 6%	108	50	109	50
Elżbiety za 200 Mrk. opod.	111	30	111	80
„ za 200 Mrk. nie opod.	118	75	—	—
Ferdyn. Nordb. m. kon. 5%	105	50	—	—
„ Mor.-Szląz. linia 1871/2 5%	102	—	—	—
„ poż. 1876 r. 100 złr. 5%	105	—	—	—
Franc. Józef Em. 1884 . 4¹/₂%	89	90	90	15
Gal.-Karol.-Lud. 1881 300 złr. „	100	—	100	20
„ Jarosław 300 „ „	98	50	99	50
Koszycko-Oderb. . 200 „ 5%	100	10	100	40
4% Lwów-Czern. Em. 1884 (10% p.)	82	15	82	30
4% „ „ 1884 (wolne od p.)	86	15	86	30
Nordwestb. austr. . 200 złr. 5%	102	75	103	25
„ Lit. B. 200 „ „	102	50	102	75

	płacą		żądają	
Nordwb. austr. Em. 1874 200 m. 5%	126	—	126	50
Rudolfa z 1884 r. . 100 złr. „	86	25	86	45
„ Salzkam. gut. zł. 200 m. „	116	—	—	—
Siedmiogrodzkiej I . 200 złr. „	98	40	98	80
Staatseisenbahn . . 500 fr. 3%	190	75	—	—
Südbahn (Lombardy) 500 fr. 3%	148	70	149	30
„ „ 200 złr. 5%	125	—	—	—
Theissb.-Gesell. . 1000 „ „	104	70	105	—
Węg. gal. Łupkow. . 200 „ „	99	60	99	90
„ „ II Em. 200 „ „	97	75	98	—
„ Nordost . 300 „ „	97	50	97	80
„ „ złotem . 200 „ „	—	—	—	—
„ Westbahn . 200 „ „	98	50	99	75
„ „ Em. 1874 200 „ „	98	75	99	50
Losy.				
4% Donau Regul. . złr. 100	114	—	115	—
Premiowe Wiedeńskie . „ 100	125	—	125	50
„ Węgierskie . „ 100	115	—	115	50
3% „ Tureckie . fr. 400	21	25	21	50
Kredytowe . złr. 100	174	75	175	25
Clary . „ 40	41	75	42	25
4% Donau-Dampfsch. „ 105	114	—	115	—
Insbrucku . „ 20	—	—	—	—
Keglewicha . „ 10	19	—	—	—
Krakowskie . „ 20	—	—	—	—
Ofner (miasta Budy) . „ 40	42	25	43	—
Palfy . „ 40	37	75	38	25
Rudolfa . „ 10	18	25	18	75
Salma . „ 40	56	50	57	—
Salzburgskie . „ 20	21	75	22	50
St. Genois . „ 40	50	75	51	25
Stanisławowskie . „ 20	23	50	24	50
4¹/₂% Tryesteńskie . „ 100	130	—	131	50
4% „ . „ 50	68	—	—	—
Waldsteina . „ 20	27	75	28	25
Windischgrätza . „ 20	36	75	37	25
Cisańskie .	116	80	117	20
Czerw. krzyża .	13	—	13	20
Węg. Czerw. Kryża .	7	25	7	50
Serbskie .	30	20	30	70

Warszawa 9. Stycznia.

	rb.	kp.	rb.	kp.
5% Listy zastawne nowe 1869 r.	—	—	95	25
kupon	—	—	—	9¹/₂
4% Listy likwidacyjne	—	—	87	45
kupon	—	—	—	30

Lwów. Z Izby handlowej, 10. stycznia 1885.

1. Akcje za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy:	płacą		żądają	
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. m. k.	264	50	268	—
„ lwow. czer.-jass. 200 zł. w. a.	198	50	202	—
Banku hypot. galic. 200 zł. w. a.	283	—	287	—
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	238	—	243	—
2. Listy zastawne za 100 złr.				
Tow. kred. galic. 5 prc. w. a.	99	—	100	—
„ „ „ 4 „ „	91	50	92	75
„ „ „ 5 „ okres.	99	—	100	—
„ „ „ 4 „ „	87	—	88	—
Banku krajowego 4¹/₂% w. a.	91	—	92	—
„ hyp. galic. 6 „ „	101	—	102	—
„ „ „ 5 „ „	97	—	98	—
„ „ „ 5 „ z 10% prm.	98	50	99	50
G. Z. kr. wł. (d. 6%) 3% w likw.	58	—	60	—
„ „ „ „ (d. 5%) 2¹/₂% „	58	—	60	—
Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	101	25	102	25
Kom. banku kraj. 5 prc. w. a. I em.	96	75	97	75
Pożyczka kraj. z r. 1873 6 prc. w. a.	102	75	104	—
„ „ „ 1883 4¹/₂% „	90	60	91	60
Losy miasta Krakowa	17	—	18	50
„ „ Stanisławowa	22	50	24	50
Dukat holenderski	5·70		5·80	
Dukat cesarski	5·75		5·85	
Półimperjał rosyjski	10·02		10·12	
Rubel rosyjski srebrny	1·54		1·64	
„ „ papierowy	1·27¹/₂		1·29¹/₂	
100 marek niemieckich	60· —		60·85	

Teatr i widowiska.

Teatr hr. Skarbka:

Dzisiaj w sobotę: „Rigoletto.“

Jutro: po południu „Safanduły.“ wieczorem „Gaskończyk.“

W poniedziałek: „Właściciel kuźnic.“

We wtorek: „Łucja z Lammermooru.“ (Występ p. E. Russel).

Papier z fabryki Braci Fiałkowskich & Twerdy w Bielsku i w Białej. Z drukarni K. Pillera.

Dodatek literacki do Nr. 8 „Przeglądu"

ZDRADZIECKIE SERCE

przez

Edgara Poe.

. . . Nie przeczę: byłem w owych czasach nerwowy, bardzo nerwowy i pozostałem takim dotąd; za cóż jednak nazywają mnie warjatem? Choroba zaostrzyła moje zmysły, ale nie pomieszała ich, nie przytępiła. Nadmierna wrażliwość opanowała u mnie przedewszystkiem organ słuchu. Słyszałem wszystko, co działo się w niebie i na ziemi, a nawet — w piekle. Czyż mogłem więc być warjatem? Posłuchajcie tylko, jak rozsądnie i spokojnie opowiem wam przebieg całego zdarzenia.

Zkąd przyszło mi to do głowy, sam nie potrafiłbym odpowiedzieć; dość na tem, że nie mogłem ani we dnie ani w nocy pozbyć się natrętnych myśli. Do ich wykonania nie znaglały mnie żadne widoki osobiste, ani tem mniej nienawiść. Owszem, dość lubiałem tego staruszka. Nigdy nie był natrętnym, nigdy nie obraził mnie, chociażby jednem słówkiem. Nie uczuwałem też tego z powodu złota, jakie staruszek posiadał; zdaje mi się, że tylko wzrok jego wprowadzał mnie w stan rozdrażnienia. Tak, tak — niezawodnie! Jedno z jego oczu przypominało mi spojrzenie sępa; jasno-siną gałkę tego oka pokrywało lekkie bielmo, a ile razy zwrócił je na mnie, czułem, że krew zastyga mi w żyłach. Ażeby na zawsze uwolnić się od nienawistnego oka, postanowiłem sprzątnąć jego właściciela. Oto wszystko, dlaczego ogłoszono mnie warjatem. Ale szaleńcy pozbawieni są rozwagi, a tej nie mógł mi nikt odmówić. Dzieło moje prowadziłem z rozwagą bardzo zręcznym planie; do wykonania zaś zbliżałem się w sposób niezwykle ostrożny, zwracając na wszystko baczną uwagę, maskując starannie właściwe zamysły. Znienawidzonemu staruszkowi nigdy nie okazywałem więcej przyjaźni, jak w ciągu tygodnia, poprzedzającego zabójstwo. Codziennie o północy szedłem na palcach przed drzwi jego i otwierałem je, — trzeba było widzieć, jak cicho, jak ostrożnie! Skoro zaś drzwi były dostatecznie odchylone, ażeby przez otwór dała się wsunąć głowa, wyciągałem przed siebie starannie osłoniętą latarnię i dopiero wtedy przychodziła kolej na głowę. O, gdyby kto widział mnie w owej chwili, musiałby śmiać się ze zręczności, z jaką każdy ruch wykonywałem, z jaką unikałem nawet najmniejszego szelestu w obawie, ażeby staruszka nie zbudzić. Upłynęła, co najmniej, godzina zanim głowę wsunąłem w głąb pokoju tak daleko, iż mogłem rozpoznać leżącego w łóżku starca. Czyż potrafiłby się zdobyć szaleniec na tyle cierpliwości? Później, kiedy już głowę miałem wewnątrz pokoju, otwierałem po cichu — ach, jak po cichu! — zasuwkę latarni, ale tylko o tyle, żeby malutki promyk światła upadł na sępie oko. Przez siedm nocy czyniłem to samo; zawsze jednak widziałem oko zamknięte i nie mogłem przystąpić do wykonania zamiaru, bo nie chodziło mi o starca ale o jego przeklęte oko.

Każdego poranku przybywałem do izby staruszka, rozmawiałem z nim zupełnie spokojnie, a nawet wypytywałem się serdecznie, jak noc przespał. Musiałby więc być bardzo podejrzliwym, ażeby przeczuć, z jakiemi myślami przypatrywałem mu się, kiedy on we śnie spoczywał.

Ósmej nocy otwarłem drzwi z jeszcze większą przezornością niż zwykle. Nigdy też ani przedtem, ani potem nie czułem w sobie takiej pełni sił, takiej bystrości umysłu. Nie byłem w stanie opanować jakiejś mimowolnej uciechy, kiedy ująłem klamkę w tem zaiste przeznaczeniu. Myślicie, że ofiara moja nawet we śnie nie domyśla się, co ją czeka. Ten spokój staruszka wydał mi się tak komicznym, że omal nie parsknąłem śmiechem. Jednak musiał on mnie usłyszeć bo poruszył się nagle na łóżku, jak gdyby czemś przestraszony. Myślicie zapewne, że umknąłem natychmiast? Nie! W pokoju było ciemno, choć oczy wykol, bo staruszek obawiając się rozbójników, zamknął okiennice. Widziałem przeto, że nie mógł spostrzedz otwartych drzwi i nie zachwiany w postanowieniu, odchylałem je ciągle dalej. Na koniec wsunąłem całą głowę przez otwór i przystąpiłem do odsłonięcia latarni. Na nieszczęście zsunął mi się palec po blaszce, a starzec przebudzony zgrzytem zawołał: „Kto tam?" Stanąłem jak wryty, powstrzymując nawet oddech. W ciągu godziny pozostałem nieruchomy i nie słyszałem, aby starzec napowrót układł się w łóżku. Siedział więc jeszcze ciągle i nadsłuchiwał, podobnie, jak ja to czyniłem od tygodnia.

Nagle doszły do moich uszu lekkie jęki. Poznałem w nich wykrzyk śmiertelnej trwogi. Nie był to, ani jęk bólu, ani westchnienie troski, jeno głęboki przytłumiony odgłos, który zwykle się wyrywa zatrwożonej duszy. Znam go aż nadto dobrze. Nieraz, kiedy wszystko spoczywało w północnej ciszy snem, wydzierał mi się z mojej ściśniętej piersi. Mogłem więc pojąć piekielne męki, jakie przechodził staruszek. Wiedziałem, że nie zmrużył oczu od chwili, gdy przypadkowym szelestem przerwałem mu sen spokojny. Trwoga jego rosła z każdą sekundą; im bardziej starał się stłumić ją, jako nieuzasadnioną, tem silniej opanowywała go. Nadaremnie mówił w myśli do siebie: „To tylko wiatr zawył w kominie, albo mysz przebiegła przez pokój, szukając sobie kryjówki." Byłem pewny, że staruszek starał się uspokoić w ten lub inny sposób wzrastającą obawę; wszystko jednak nadaremnie. Bliska śmierć stanęła teraz przed nim; na duszę swej ofiary rozciągnęła czarne cienie i właśnie zgroza o niebezpieczeństwie pomimo, że mnie ani nie widział, ani nie słyszał.

Przez długi czas nadaremnie czekałem, ażeby usnął, postanowiłem światło lampy odsłonić mała szparę. Zabrałem się do dzieła z największą przezornością. Niepodobna sobie wyobrazić, jak powoli i jak ostrożnie odchyliłem zasuwkę o tyle, że w końcu jeden — jedyny promyczek — cieniuchny, niby włosek jedwabiu, padł na sępie oko. Było rozwarte, a gdym na nie spojrzał, wściekłość wstrzęsła wszystkiemi mojemi nerwami. Widziałem dokładnie tę siną gałkę, z ohydną zasłoną bielma; widziałem i czułem, jak gwałtownie krew zaczyna mi przbiegać żyły. Twarzy starca, ani żadnej innej części jego postaci nie mogłem dostrzedz, bo światło skierowałem wyłącznie ku znienawidzonemu oku.

Wspomniałem już, że moje rzekome szaleństwo nie było niczem innem, jak tylko nadmierną wrażliwością i zaostrzeniem zmysłów. O moje uszy uderzył teraz stłumiony, szybki szmer podobny do tykotania zegarka owiniętego w watę. Był on mi także dobrze znany! Starcowi biło tak silnie serce, a bicie to wprawiło mnie w jeszcze większe rozdrażnienie. Usłyszawszy je zapłonąłem, jak żołnierz na oddźwięk bojowej pobudki.

Ale i teraz panowałem jeszcze nad sobą i nie ruszyłem sie. Powstrzymywałem nawet oddech, trzymając latarnię ciągle przed sobą. Tymczasem piekielne bicie serca wzmagało się. Uderzenia były z każdą chwilą szybsze i głośniejsze. Przerażenie staruszka musiało dobiedz do szczytu. Powiedziałem, że uderzenia serca były coraz silniejsze. Czy zrozumiecie? Powiedziałem także, iż iestem nerwowy i jeszcze raz to powtarzam.

Teraz — o północy, pośród głuchej ciszy wywołał we mnie ten dziwny szelest bijącego serca niewypowiedziany przestrach. Byłem zanadto rozdrażniony, ażeby dalej stać nieruchomo. Pukanie stawało się ciągle głośniejszem; myślałem, że lada chwila peknie staruszkowi serce. Uległem innej jeszcze obawie: szelest ten może być przez kogo posłyszanym. Trzeba zatem spieszyć się; dla staruszka wybiła godzina śmierci. Z głośnym okrzykiem odsłoniłem całą latarkę i wpadłem do wnętrza pokoju. Z piersi mej ofiary dobył się tylko jeden króciuchny jęk. W okamgnieniu rzuciłem go na podłogę i przykryłem pościelą. Na ustach moich zawitał uśmiech zadowolenia; zamiar został spełniony, jakżeż mogłem nie cieszyć się? Ale serce staruszka biło jeszcze przez kilka minut tem samem przygłuszonem tętnem trwogi. Cóż mi mogło na tem zależeć? Niepodobna było, aby ktoś je usłyszał, a zresztą po kilku minutach bicie samo przez się ustało. Umarł. Odsunąłem pościel i rozpocząłem oględziny ciała. Ani wątpliwości: staruszek umarł. Położyłem rekę na sercu trupa. Trzymałem ją przez kilka minut, nie mogąc zauważyć najmniejszego śladu życia. Śmierć starca w całym swym żałobnym majestacie sprawiała mi przecież radość; uwolniłem się nareszcie od sępiego oka.

Kto chciałby mnie uważać za warjata, zaprzestanie tych podejrzeń, skoro się dowie z jaką przebiegłością przystąpiłem do ukrycia trupa. Zmroki nocy poczęły już pierzchać, a ja pracowałem jeszcze ciągle z największym wysiłkiem.

Wyrwawszy z podłogi trzy deski, ukryłem pod nimi wszystkie ślady krwawego czynu. Uczyniłem to tak zręcznie, że niczyje oko nie było w stanie zauważyć żadnej zmiany. Nie potrzebywałem nic zmywać; żadna plama, żadna choćby nawet najmniejsza krwi kropelka nie pozostała na podłodze.

Dopiero o czwartej godzinie nad ranem ukończyłem żmudną pracę. Właśnie kiedy zegar czterokrotnem uderzeniem przerwał ciszę, zapukał ktoś z ulicy do drzwi. Zupełnie spokojny wyszedłem, ażeby je otworzyć. Powiadam: „Zupełnie spokojny", bo czegoż miałbym się jeszcze obawiać? Weszło trzech ludzi, którzy bardzo grzecznie przedstawili się jako urzędnicy policyjni. Jeden z mych sąsiadów miał usłyszeć jakiś krzyk w nocy. Obudziło to w nim rozmaite podejrzenia. Uwiadomiona o niezwykłem zajściu policja wysłała urzędników, aby na miejscu przekonać się o słuszności lub niesłuszności domysłów.

Uśmiechnąłem się i zaprosiłem przybyszów do wnętrza. O krzyku tajemniczym twierdziłem, że musiał we śnie dobyć się z mych piersi. Co do starca zaś nadmieniłem, iż wyjechał wczoraj na wieś. Oprowadzałem urzędników po domu i prosiłem, ażeby dokładnie przetrząsnęli całe mieszkanie. Na koniec otworzyłem im także drzwi do pokoju starca; naocznie przekonali się, iż jego mienie znajduje się nietknięte w bezpiecznym schowku. Byłem tak pewnym siebie, że przyniosłem krzesła i prosiłem ich, aby zechcieli wypocząć. Sam zaś postawiłem stołek dla siebie na miejscu, gdzie przed kilku kwadransami skryłem trupa swej ofiary.

Urzędnicy byli ze mnie zupełnie zadowoleni. O niewinności mojej przekonali się najlepiej ze swobody, z jaką ich przyjąłem. Zajęli podane krzesełka, a pytania śledcze krzyżowały się bardzo często z opowiadaniem, nie mającem najmniejszego związku z właściwą sprawą. Nie trwało to jednak długo; nagle uczułem, że blednieję i zapragnąłem, aby przy[illegible]sze odeszli. Głowa pękała mi od bolu, w uszach uczułem szum osobliwszy, a oni ani myśleli zaprzestawać pogawędki. Szum wzmagał się i poczynał przybierać ton więcej określony. Ażeby przytłumić przkre wrażenie, usiłowałem rozmowie nadać jeszcze żywszy charakter. Ale szum trwał dalej, stawał się wyraźniejszym Przekonałem się w końcu, że jego siedlisko nie leżało w mych uszach.

Musiałem teraz bardzo pobladnąć; nie ustawałem jednak w rozprawie, owszem podnosiłem głos, ażeby przygłuszyć tajemniczy szelest. Ale w miarę wzmagania się mego głosu, wzmagało sie także szumienie. Co tu począć? Był to głuchy, raźny dźwiek. podobny do tego, jaki dobywa się z zegarka obwinionego watą. Brakło mi oddechu — a jednak urzednicy nic nie słyszeli. Wstałem i opowiadałem o rozmaitych drobnostkach głosem bardzo podniesionym, przyczem siliłem się także na jak najgwałtowniejsze ruchy. Szmer mimo *to* nie ustawał. Dlaczegoż nie idą już precz? Ta myśl pobudziła mnie do wściekłości; ciężkimi krokami począłem przechadzać się po pokoju. Wszystko nadaremnie. Szmer wzmagał się coraz bardziej. Mój Boże! co tu począć? Pieniłem się od złości, klnąłem, krótko mówiąc: szalałem. Chwyciłem za krzesło, uderzyłem niem o podłogę, ale szmer bijącego serca stawał się głośniejszym nawet, niż ten łoskot. Urzędnicy zaś rozmawiali z równą swobodą, jak przedtem; szał mój pobudzał ich tylko do uśmiechu. Mieliżby nic nie słyszeć? Boże wszechmocny — oni słyszeli, oni dorozumieli się związku i drwili sobie z mego przerażenia. Takie myśli przebiegały mi po głowie; ich ślad niby echo pozostał w niej dotychczas. Nic nie byłoby dla mnie męczarnią sroższą nad to szyderstwo. Nie mogłem znieść dłużej ich sarkastycznego uśmiechu. Zdawało mi się, że zginę jeśli nie dam wyrazu wewnętrznemu wzburzeniu. Ile tylko sił mi zostało, zużyłem je wszystkie w jednym potężnym okrzyku: „Łotry!" — „Łotry — wrzeszczałem dalej — skończcie raz to udawanie. Przyznaję się do zbrodni. Zerwijcie deski — tak — ztąd, ztąd — dobywa się ten straszny tętent bijącego serca."

Zabory Niemców w Afryce.

„W *Kurjerze Warszawskim* znajdujemy list S. S. Rogozińskiego, opisujący dokonane przez Niemców zabory na zachodnim brzegu Afryki. Z listu tego, pisanego z Mondeleh we wrześniu, podajemy następujący wyjątek:

Wszystkie niemal pisma zajęte są obecnie zaborami, jakie przedsięwzięło na zachodnim brzegu Afryki cesarstwo niemieckie, występujące po raz pierwszy w szeregu państw kolonialnych. W żadnem jednak piśmie — z *tych* przynajmniej, które doszły do tego odległego zakątka zatoki Gwinejskiej — nie znalazłem jeszcze przedmiotowego, ścisłego sprawozdania z faktów i dokładnego o nich pojęcia. Dlatego, jako świadek naoczny tego, co się dzieje w Kamarunie, zmuszony przytem przez okoliczności do przyjęcia w tem wszystkiem pewnej czynnej roli, kreślę te słowa, reasumujące i objaśniające jedynie fakta. Pragnę, aby stały się one użytecznemi dla tych, co na ich podstawie oprzeć chcieliby słuszną tych faktów ocenę i dla tych, co regestrują zdarzenia polityczne, zestawiając z nich całość, zwaną historją.

Z krajów zatoki Biafryjskiej, ciągnącej się od głównego ujścia rzeki Nigru (czyli od przylądka Nun) do przylądka Lopez, do niedawnych jeszcze czasów zajęte były przez europejczyków, tylko nieznaczna stosunkowo południowa część, tj. 1) Gabon i Ogowe przez Francyę, oraz 2) sąsiedni z Gabonem przylądek San Juan, ujście rzeki Muni z wysepkami Corisco i Elobey przez Hiszpanję, która zalicza te posiadłości do swego gubernatorstwa na Fernando Poo.

Na północ zaś od Corisco ciągnęły sie po całem wybrzeżu zatoki Biafryjskiej niepodległe ziemie różnych oddzielnych plemion, a mianowicie: Wielka i Mała Batanga, Malimba plemiona rzeki Kameruńskiej, Bimbja, kraik leżący pomiędzy rzeką a górami Kameruńskiemi, plemiona tych gór wreszcie, dalej zaś kraj Rumby, krajowcy porzecza Rio del Rey (zależni od Kalabaru), sam Kalabar i Bonny.

Z tych krajów część Batangi przyjęła dawniej już protektorat francuski na mocy traktatu z czasów panowania Ludwika Filipa (traktatu, którego istnienie stwierdził w Batandze w lipcu bieżącego (1884) roku komendant angielskiej korwety „Opal"), z innym zaś krajem, z częścią Malimby i jej kacykiem Passalla, zawarła w kwietniu zeszłego (1883) roku układ francuska kanonierka „Voltigeur". Mocą tego ostatniego traktatu teren ów dostał się również pod protektorat Francyi.

Reszta zaś krajów, a głównie rzeka Kameruńska, Bimbja i Bonny, niegdyś jedne z głównych punktów handlu niewolnikami, znajdowały się pod bezpośrednim wpływem angielskiego konsula, który soecjalnie dlatego bywał mianowanym jako stały rezydent dla zatok Biafry i Beninu. Konsul ten też zwykle rozstrzygał tu „palawry" (spory) tak między czarnymi jak i pomiędzy nimi a białymi zarówno angielskiej jak i nieangielskiej narodowości.

Jeżeli jest mowa o Kamerunie, rozumie się pod tem porzecze rzeki Dualla, czyli Kameruńskiej. Góry tegoż imienia stanowią kraj oddzielny, niczem nie związany z plemionami porzecza, od którego dzieli ją Bimbja, kraj niewielki, leżący u zachodniego ujścia rzeki Mungo, u podnóża gór.

Głównymi kacykami czy królami*) nad rzeką Kameruńską są na lewym brzegu: 1) Sango Ndumbe przez białych zwany król Bell; 2) król Aqua (Akwa) oraz 3) Dzim Ekwalla, kacyk miasta Dido; na prawym zaś: kacyk miasta Hikory zwany przez anglików Green. Oprócz nich jednakże panuje wielka ilość mniejszych kacyków jak: Brisso Lok-Brisso i t. d. Wszyscy Kameruńczycy prawie mówią po angielsku, oprócz swego języka — dualla.

Z dziesięciu faktoryj będących na rzece, około 8 jest angielskich, 2 zaś niemieckie: 1) dom C. Woerman z Hamburga, oraz 2) Jantzen i Thormählen (z tegoż miasta) — żadna firma jednakże nie posiadała tu posiadłości ziemskich. Faktorye są po większej części pływające z przyczyny niezdrowych brzegów — z wyjątkiem faktorji Woermana, która posiada budynki na lądzie w miastach Bell, Akwa i Dido.

Prawy brzeg rzeki jest niskiem i niezdrowem mangrawiowem bagnem, niezamieszkałem, oprócz wyżej położonego miasta Hikory, brzeg zaś jest wysoki i gęsto zaludniony. Krajowcy są zawołanymi kandlarzami, lecz sami nie produkują. Są to żydzi Afryki — kasta faktorów, pośredników — nie dopuszczających białego do bezpośredniego zetknięcia z produkującym krajowcem wnętrza, i podnoszących przez to niezmiernie ceny krajowych przedmiotów handlu, co w krótce w Kamerunie musi sprowadzić kryzys.

Krajowcy ci, plemienia Dualla, są przytem leniwi, próżni i spędzają całe godziny nad smarowaniem swego ciała i włosów manjanką lub skrobaniem swych paznokci. Są to jednakże typy piękne, silnie zbudowane i o regularnych rysach twarzy. Bardziej szczegółowy opis kraju rozszerzyłby zbytecznie ramy tego listu.

Przejdźmy dlatego do wypadków ostatnich czasów.

Na początku roku zeszłego (1883) podczas bytności angielskiego konsula E. Hewetta w Kamerunie (którego zawezwał niemiecki zawiadowca faktorji Woermana, niejaki Schmidt, dla załatwienia sporu jaki był wynikł z nieporozumień pomiędzy tą faktorją a królem Akwa) kacykowie rzeki wręczyli p. Hewettowi oświadczenie, iż pragną wejść pod protektorat Wielkiej Brytanii. Zebranie to odbyło się w niemieckiej faktorji, u samego Schmidta, który ofiarował angielskiemu konsulowi swój współudział i towarzyszył mu również przy zgromadzeniu kacyków dla tegoż celu na rzece Abo (jednem z ramion rzeki Kameruńskiej). Po tych pertraktacjach konsul Hewett odbył takież same w Bimbji z kacykami Moni i Wiliamem, również z pomocą tegoż p. Schmidta. Tu zresztą w Bimbji, różni angielscy poddani, między innymi angielski pułkownik Nickalls i towarzystwo misjonarzy baptystów z Londynu, posiadają grunta kupione 20 — 25 lat temu od panującego wówczas nad Bimbją potężnego króla Wiliama Stango (Old King Wiliam). Stary król Wiliam zawarł niegdyś traktat przyjazny z Anglią i angielskie kanonierki stanowiły tu zwykłą policję.

W celu ratyfikowania traktatów pomiędzy kacykami Kamerunu i Bimbji a rządem angielskim udał się konsul Hewett w roku zeszłym do Anglji, gdzie choroba przytrzymała go około całego roku, gdy tymczasem krajowcy uznawali się już jakby angielskimi poddanymi i oczekiwali powrotu konsula.

Tymczasem zjawiła się nagle w lipcu bieżącego 1884go roku na rzece Kameruńskiej niemiecka kanonierka Möwe, pod flagą jeneralnego niemieckiego konsula Nachtigalla, mającego do pomocy dra Buchnera. Przybyli oni z inicjatywy C. Woermana, który namówił rząd niemiecki do zajęcia Kamerunu przy współudziale swego ajenta owego E. Schmidta Ten ostatni, zapominając dobrowolnie o zeszłorocznych anglo-kameruńskich układach i własnym swoim w nim udziale, zwołał wieczorem do swej faktorji królów: Bella i Akwę, czyniąc im propozycję sprzedania Kamerunu niemcom. Król Bell z początku wręcz odmówił, przypominając p. Schmidtowi ze zdziwieniem zeszłoroczne układy z angielskim konsulem, lecz obecność wojennego okrętu, która zawsze wywiera znaczny wpływ na umysły krajowców i... złote argumenta zjednały krajowca, choć, jak król Bell później sam oświadczył, „wstydził się tego co zrobił".

W ciągu następnych dni pozawieszano po różnych miastach orły niemieckie przy wystrzałach z dział kanonierki „Möwe" i defiladzie marynarzy, lecz ludność. oddawna przyzwyczajona do anglików i pewna tego, że kraj już jest angielskim, przyjęła te manifestacye z oburzeniem, a król z Hickory odmówił pozwolenia postanowienia flagsztoku niemieckiego u siebie. Wtedy postawiono takowy siłą. lecz kacyk kazał go zrzucić i wywiesił flagę angielską, oświadczając, że p. Schmidt wie dobrze o co—rok temu przeszło — układali się z Anglją.

W krótce przybył też konsul angiesski z powrotem z plenipotencją od swego rządu, by stosownie do zeszłorocznego żądania kacyków zajął kraj na rzecz Anglji. Ku wielkiemu swemu zdziwieniu zastał to, cośmy właśnie opisali, lecz kacykowie i krajowcy przychodzili tłumnie na kanonierkę „Flirt" do p. Hewetta. protestując przeciw nierzetelności króla Bella, Akwy i p. Schmidta, i upierając sie przy dotrzymaniu zeszłorocznych traktatów. Konsul wysłał więc odpowiedni raport do swego rządu do Londynu, a jednocześnie mianował niejakiego Buckana swoim zastepcą w Kamerunie, tj. angielskim wicekonsulem.

W takim stanie znajdują się obecnie rzeczy na rzece Kameruńskiej. Czy postepowanie niemców w Kamerunie było czystem i lojalnem—czytelnik sam osądzi.

Zajęcie Kamerunu jednakże było tylko początkiem niemieckiego planu. Łatwo było do przewidzenia, iż niemcy nie zajmą tych okolic z powodu niezdrowych bagien rzeki Kameruńskiej, lecz, że będzie im głównie chodziło o góry, tj. o linije brzegowe pomiedzy Kamerunem a Kalabarem. kraj najlepszy na całym zachodnim brzegu Afryki i gdzie rolnik czy plantator przeludnionego kraju jak Niemcy znalazłby szerokie pole do działania To było głównym celem ekspedycji kanonierki „Möwe", jak się w krótce miało pokazać.

Tu — muszę stać się nieco osobistym, jako biorący udział w dalszym ciągu zdarzeń.

Około 10-go lipca powróciłem z Gabonu do stacji Mondeleh na angielskiej korwecie „Opal", która nas przewiozła z Fernando-Poo. Przybywając nie chciałem wierzyć, gdy mi doniesiono, że niemcy posunęli się dalej i zajęli Bimbję, kraj sąsiedni z nami. Było to tak nieprawdopodobnem, bo najlepsza część Bimbji wraz z wyspą Nickols jest wprost angielskim terenem (o czem Schmidt dobrze wie i czesto o tem mówił), że dopiero gdy korweta „Opal", której uwagę zwróciłem na to doniesienie, fakt stwierdziła, dałem temu wiare. I tu krajowcy posłali protest do angielskiego rządu przecim nieprawnemu zajęciu kraju przez niemców.

Zajęcie to jednakże rozprószyło we mnie wszelkie dalsze powątpiewania co do zakresu planów niemieckich — chodziło naturalnie o zajecie gór — o otrzymanie przez nie całego kraju kameruńskiego, najlepszej części brzegu.

Tu u podnóża gór, w zatoce Ambas, leży Victoria, osada misyjna angielskich misjonarzy, nag nią więc, jako punktem angielskim, konsul zawiadomiony o zajęciu Bimbji, kazał niezwłocznie podnieść flage angielską; uczyniła to kanonierka „Forward" pod dowództwem porcznika Forlongera, dnia 10-go sierpnia 1884-go roku.

Na zachód od misyjnej tej osady, której teren nie jest wielkim i bynajmniej nie uczyniłby wielkiej przerwy w linji brzegowej, gdyby niemcy byli posunęli ją do Kalabaru, leżą posiadłości nabyte w ciągu roku bieżącego od miejscowych kacyków przez nas na stacyi naszej — tworzą je w danej chwili kraiki: Bota, Mokunda Mbenga, Mokunda-Leluh, Bubinde, Negemeh-Kuba i Ngemeh-Musahu z częścią linji brzegowej na zachód od granic osady Victoria. Ta posiadłość więc była w bezpośredniem niebezpieczeństwie.

Przez odpływającą więc kanonierkę „Forward" wysłałem notę do angielskiego konsula, zwracając jego uwagę na okoliczność, że gdyby zechciał wziąć linię brzegową pod protektorat angielski, chętniebym się na to zgodził dla posiadłości naszej, a zjednałbym dla tej samej myśli resztę kacyków, dalszych miast brzegowych.

Jako odpowiedź konsul Hewett przysłał dnia 25-go sierpnia powtórnie kanonierkę „Forward" do zatoki Ambas, a gdy takowa nie zastała mnie w Mondeleh (w interesach ekspedycji znajdowałem się na Fernando-Poo), zawinęła tam, przywożąc przygotowany dokument dla podpisania traktatu protekcyjnego co do naszej posiadłości i zapraszając do współudziału obiecanego przezemnie w celu zjednania reszty brzegu. Uczyniwszy więc potrzebne zakupy dla kacyków, które uważałem za niezbędne, w faktorji angielskiej w Fernando-Poo, udałem się na kanonierce „Forward" do Mondeleh, a dnia 28-go sierpnia, przy licznej krajowej ludności podpisałem wraz z kacykami naszych terenów w mieście Bota traktat, mocą którego Wilkobrytanja broni integralności naszej ziemi tu, w zamian czego my popieramy interesa angielskie, zachowując jednakże zupełną własną jurysdykcję na zewnątrz, jakoteż zarząd i flagę.

Następnie przez 29-ty i 30-ty sierpnia, oraz 1-y i 2-gi września, płynąc wzdłuż linji brzegowej gór Kameruńskich, zawarliśmy wespół z porucznikiem (lieutenant) Furlongerem traktaty z 11-ma sąsiedniemi królikami, oddając tym sposobem cały ów brzeg również (do kraju Rumbji) pod protektorat Anglji.

Wracając z tej wyprawy, spotkaliśmy dwa niemieckie wojenne okręty: fregatę „Leipzig" i kanonierkę „Möwe" w drodze do Bibundi (głównego punktu na zachodnim brzegu gór), któryśmy jednakże dość wcześnie — choć, jak się okazuje, czas był na to wielki — zajęli pod protektorat angielski. Na kanonierce niemieckiej znajdował sie, oprócz dra Nachtigala, ów ajent niemiecki Schmidt, wraz materjałem budowlanym i podarkami dla kacyków Bibundi, oraz dwóch kacyków z Bimbji, którzy mieli pomagać p. Schmidtowi w namawianiu króla Bibundji — imieniem Befonge — do sprzedania niemcom swej ziemi.

Spotykając nas wracających z Bibundi, „Leipzig" podniosła sygnały, dając instrukcje swej kanonierce „Möwe" by zawrócić, poczem ta wróciła do Fernando Poo.

Głównego celu zatem, kraju gór Kameruńskich, niemcy nie otrzmali, a zdobyte kraje: Bimbja i rzeka Kameruńska (wraz z którą zajęli też część Malimby i część Batangi) przeszły w ich posiadanie nielegalną drogą i jak twierdzi konsul angielski Hewett, będą odzyskane przez gabinet angielski.

W kilka tygodni po opisanych ostatnich zajściach zostałem nanowo zaproszonym przez porucznika Furlongera, aby popłynąć z nim wzdłuż owego brzegu na kanonierce „Forward" i rezultatem tej drugiej ekspedycji było podpisanie traktatów z kacykami kraju Rumbi, podczas gdy inna kanonierka angielska „Flirt" zajęła Kalabar i Banny — kraje zatem zatoki Biafryjskiej przestały być niepodległemi państewkami.

S. S. Rogoziński.

Indye i ich plaga.

Dziwny i nieprzeparty prawie urok wywiera na nas wszystko, co mgłą tajemnicy jest osłonięte. „Nic mnie tak bardzo nie nęci i nie ciągnie ku sobie, jak owe tajemnicze, niczem nie zapisane, białe i czyste miejsca na kartach środkowej Afryki." W ten sposób zwierza się przed nami największy z żyjących obecnie podróżników, Henryk Moreton Stanley przed swoją pierwszą podróżą w ślad za Liwingstonem, — a jeżeli owe białe karty środkowej Afryki dziś już w znacznej części przestały dla nas być tajemnicą, jeżeli ludzkość posiędzie niebawem nowy teren dla pracy cywilizacyjnej, to zawdzięczać to będzie w pierwszej linji nie czemu innemu, — jeno owej sile attrakcyjnej, która leży w każdej tajemnicy. Chęć jej odsłonienia i zbadania jest bowiem tak samo, jak i potrzeba matką wynalazków i tą potężną dźwignią postępu we wszystkich gałęziach pracy ludzkiej. Cóż bowiem innego każe całemu szeregowi odważnych mężów, prawdziwych bohaterów wiedzy, puszczać się na nieznane lodowce północnego morza, jeżeli nie owa wiecznie trawiąca gorączka dowiedzenia się, co też znajduje się tam, gdzie nie stąpiła dotąd noga ludzka.

I nie od dziś datuje się ten objaw

Jest on tak stary jak ludzkość i zniknie chyba z nią razem. A ileż już odkryć jemu zawdzięczamy? Śmiały Genueńczk odkrył nowe światy, idąc za głosem wewnętrznym, który go parł naprzód w nieznane dotąd okolice. Ta sama przyczyna pędziła przed nim i po nim setki innych badaczy na niebezpieczne przygody po dalekich morzach i nieznanych wybrzeżach. Myśl bowiem ludzka głęboka jak morze i bezbrzeżna jak ono, wypełnia po wszystkie czasy nieznane miejsca fantastycznymi tworami swojej wyobraźni i odsyła do nich wszystko, co wielkie i wzniosłe, nadludzkie i nienaturalne, cudowne i urocze.

Tąką krainą cudów były dla ludów starożytnych Indye. O kraju tym mieli Grecy niejasne wyobrażenie. Grek Kteziasz, lekarz nadworny króla perskiego Artazerxesa Mnemona (400 przed Chr.) podał światu piewsze szczegóły o tej zaczarowanej krainie cudów. A jakie szczegóły!

„Indye zajmujące obszarem większą część Azji są krajem tak żyznym i bogatym, — pisze on — iż najpiękniejsza prowincya rozległej monarchji perskiej — mlekiem i miodem płynąca Mezopotamja jest pustynią w porównaniu z Indjami."

Czego bo też nie ma w tych Indjach? Drzewa niebotyczne, których wierzchołków nie dosięgnie żadna strzała, wypuszczona z rąk choćby najsilniejszego łucznika, a na nich rosnące gotowe potrawy o przedziwnym smaku i ptaki śpiewające o przedziwnym głosie. Rośliny i kwiaty przewyższające wszystko swą pięknością i rozmiarami. Drogich kamieni i szlachetnych kruszców mnóstwo tak wielkie, iż zbieraniem ich nikt się nawet zajmować nie chce. W kraju tym tak pięknym i bogatym mieszkają też i twory dziwaczne. Ludzie i zwierzęta są tam inni. Ludzie — to bohaterskie plemię olbrzymów — może potomkowie owych Tytanów, co ongi Olimp szturmowali, albo może synowie Herkulesa i pięćdziesięciu córek króla indyjskiego, których ojcu [illegible] Grek za okazaną gościnność w ten sposób wykwitował. A zwierzęta jakie? Dość wspomnieć, iż słoń i tygrys, nosorożec, krokodyl i wąż boa dusiciel są reprezentantami fauny indyjskiej.

Widzimy więc, że człowiek tylko coś wielkiego i niezwykłego odsyłał do Indji i kto wie, czy góry szklanne w naszych klechdach i smoki strzegące zaklętych królewien nie są reminiscencją owych zamierzchłych czasów i początkiem swym nie sięgają aż do tego źródła, z którego Ktezias czerpał swoje szczegóły o Indjach.

Po wyprawie Alexandra Macedońskiego do Indji, zmieniły się nieco zapatrywania współczesnych. Bajki Ktezjasza nie mogły się ostać przed bystrym wzrokiem spostrzegawczym [illegible] geograficznej, która towarzyszyła wszystkim tym pochodom zdobywczym macedońskiego bohatera. Lecz to nawet, co wtedy w Indjach znaleziono przechodziło tak dalece miarę rzeczy zwykłych i powszednich, że zachowano o nich jak najbardziej przesadne wyobrażenie i wzmacniano wiarę, że jest to kraj cudów i nieprzebranych skarbów.

Indje oddzielone od reszty Azji najwyższymi górami na kuli ziemskiej stanowią dla siebie świat zupełnie odrębny. Kraj cały dzieli się na dwie zgoła od siebie różne części.

Część północną, zwaną Indostanem, jest nadzwyczaj żyzną i bogatą doliną nad rzekami Indu i Gangesu i leży między górami Himalajskiemi od północy a górami Vindhja od południa. Ostatni dzielą tę część północną od właściwego półwyspu indyjskiego, który tworzy równoboczny prawie trójkąt i jest płaskowzgórzem otoczonem górami ze wszech stron. Ind i Ganges, dwie święte rzeki Indusów przerzynają urodzajną dolinę Indostanu i mają dla niej mniej więcej to samo znaczenie, co Nil posiada dla Egiptu. Mnóstwo rzek mniejszych przerzyna Dekan w rozmaitych kierunkach i nawadnia te części lądu w sposób odpowiedni do potrzeb wegetacji.

Tak dolina Indu i Gangesu — jakoteż wyżyna Dekanu są nadzwyczaj żyzne i urodzajne. Dobrze nawodnione okolice równikowe mają bowiem tę właściwość, iż pod ożywczemi promieniami słońca rodzą z nadzwyczajną łatwością najróżnorodniejsze płody świata zwierzęcego i roślinnego. Kto nie zna lasów stref południowych, ten nie może mieć nawet wyobrażenia o bogactwie flory i fauny równikowych okolic. [illegible] lasy centralnej Afryki lub nad Amazonką, są cudownym [illegible] warsztatem przyrody. [illegible]

A ileż dla oka uciechy! Dokoła same czary: na dole, u stóp badacza miljardy stworzeń drobnych, jak atomy w nieustannej ze sobą walce o byt, pełzających i skaczących, uciekających przed silniejszym przeciwnikiem lub goniących słabszego, szukających pożywienia lub miejsca do odpoczynku; u góry — konary drzew niebotycznych, potęgą swoją budzących w człowieku admirację dla Tego, którego podpatrzył, przed chwilą, w jego pracowni przy pracy tworzenia.

Taką jest urodzajność i żyzność Indji, takiem bogactwo flory i fauny w tym błogosławionym kraju.

A przecież... Jakto więc są i strony ujemne? Tak niestety! Wszystko na świecie ma swoje „ale“. Mają je i Indje.

Nie mówiąc już o różnorodnych chorobach epidemicznych, które panują prawie powszechnie w krajach stref gorących, ani też o niebezpieczeństwach grożących mieszkańcom tych stref od dzikich zwierząt, zwrócimy tu tylko uwagę czytelnika na najstraszniejszego wroga ludzi i zwierząt w Indjach, będącego prawdziwą plagą tego pięknego kraju. Wrogiem tym są gady.

Według dat statystycznych, umiera rocznie w Indjach od ukąszenia jadowitych gadów 25.000 osób! Straszna cyfra — niejeden i niejeden zastanawiając się nad nią, gotów zawołać: — „Cóż to za rząd, który nie postara się uwolnić kraju od tych okropnych płazów, zabierających tyle tysięcy ofiar!“ — Lecz wyrządzimy tylko krzywdę rządowi indyjskiemu, zarzucając mu opieszałość. Rząd czyni bowiem wszystko, co tylko leży w zakresie możności ludzkiej, aby wytępić szkodliwe te i niebezpieczne płazy. Wyznaczył nawet cenę za głowę każdego węża, a chociaż niezbyt wysoką, to przecież dał biednym osobne źródło zarobku i stworzył osobny zastęp ludzi zajmujących się fachowo tępieniem węży. Mimo to liczba ich nie zmniejsza się wcale; owszem zdaje się, jak gdyby z dniem każdym rosła w nieskończoność.

Sądzę, że mało jest takich, którzy nie słyszeli o piorunującem działaniu jadu węża zwanego *okularnikiem*. Nasłuchaliśmy się w szkołach i naczytali później w tylu książkach i rozmaitych powieściach osnutych na tle indyjskiego życia, iż przy pierwszej wzmiance o wężach jadowitych, głównie on staje nam przed oczyma. Ale nie każdy może wie, że oprócz okularnika jest w Indjach piętnaście gatunków innych gadów, równie niebezpiecznych. Bo chociaż ukąszenie ich nie działa z taką gwałtownością — to jednak zawsze jest stokroć jadowitsze od ukąszenia naszej żmiji.

Owóż jeżeli pomyślimy sobie, że gatunków tych jest piętnaście a w każdym gatunku miljony tworów, to pojmiemy, że Indja, owa kraina, cudowna i piękna kraina kwiatów i brylantów, ma także swoje ujemne strony.

Z urzędowych, indyjskich wykazów statystycznych dowiadujemy się jeszcze jednej zajmującej rzeczy, mianowicie: że liczba ukąszonych przez gady Europejczyków ma się do liczby ukąszonych krajowców jak 1 : 5. Przyczyna tego tkwi w tem, że krajowcy nie są tak ostrożni, jak Europejczycy. Żyją wśród mniejszych wygód, a z wężami są więcej oswojeni i przeto częściej wystawiają się samowolnie na ich ukąszenia.

Wiele to razy widziano parjasów śpiących pod krzakiem, który rodzina węży najniebezpieczniejszych obrała sobie za gniazdo. Jakże często wychodzi Indjanin nagą stopą do lasu, w którym roi się od jadowitych gadów. A gdy się ściemni, lub gdy dłuższa wędrówka wyczerpie jego siły, rzuca się z [illegible]nością pod pierwsze lepsze drzewo i zasypia snem twardym nie wiele robiąc sobie z niebezpieczeństwa, które — zdaje się — z każdego krzaku doń się skrada w postaci drapieżnego zwierza lub jadowitego gadu. Nic więc dziwnego, że Indjan takie mnóstwo pada ofiarą wężów. O wiele dziwniejszem jest to, że Europejczycy, pomimo wszelkich środków ostrożności, tracą jednak co roku 5.000 osób. Owoż fakt ten tłómaczy się tem, iż w Indjach także jest mnóstwo wężów, że niepodobna sobie nawet wyobrazić miejsca, gdzieby ich nie było.

„Budzę się rano — pisze jeden z podróżników — i przetarłszy oczy spostrzegam z przerażeniem, że na kołdrze, którą starannie okrywałem się przed dokuczliwém zimnem, — jakie w nocy nawet wśród lata bywa pod równikiem, spoczywa spokojnie zwinięty w kłąbek kobri, najgroźniejszy z rodziny jadowitych gadów.

Przerażony jego widokiem chwytam za najbliższy przedmiot, ażeby nim cisnąć w groźnego przeciwnika, który rozgniewany przerwaniem błogiego snu, zamierza już rzucić się na mnie. Porywam więc za but, ale w tem ciskam daleko od siebie tę broń improwizowaną, gdyż z buta wyskoczył jak strzała z złowrogiem, właściwym sobie świstem drugi groźny wąż, który w mojem obuwiu znalazł dla siebie wygodny i tani nocleg. Przerażony i z dwóch stron zagrożony wyskakuję z łóżka i krzyczę w niebogłosy; wpada służba i kijami zabija gady w chwili, gdy już miały rzucić się na mnie. To szczęście prawdziwe, dodaje ten przyrodnik, że tak łatwo zabijać te węże: jedno uderzenie szczęśliwe łamie im kość pacierzową i kładzie trupem na miejscu“.

Od samego więc rana zanim jeszcze rozpocznie dzienne swe zajęcia, ma Europejczyk, przybyły do Indyj niemiłą sposobność, zrobienia znajomości z ich plagą. Przestraszony, będzie odtąd każdy przedmiot podejrzliwem badał okiem, a jeśli wrażliwy, to myśl o groźnem sąsiedztwie jadowitych gadów zatruje mu każdą chwilę, każdą myśl swobodniejszą spłoszy z czoła. Trzeba jeszcze wiedzieć, że domy indyjskie t. z. „bangalos“ są to przeważnie parterowe budynki kryte słomą. Owoż ich strzecha bywa zwykle ulubionem siedliskiem węży jadowitych zwanych „Sankori“.

Inne gatunki mieszczą się pod podłogą, pod progiem, w szczelinach ścian albo w dziupłach drzew otaczających bangalos, tym sposobem dom każdy jest jakby w nieustannem obleżeniu przez wroga, przeciw któremu nawet cały arsenał Kruppa nie wiele zaszkodzi.

„W życiu mojem — opowiada znów inny Europejczyk, który lata całe przepędził w Indjach, — zabiłem własną ręką setki gadów jadowitych. Najsilniejsze wszakże i prawie niezatarte wrażenie zrobił na mnie wąż pierwszy którego widziałem. Mieszkałem wówczas w małym domku o trzech izbach; a ponieważ posadzka w mojem bangalos stała prawie na jednym poziomie z gruntem, na którym dom się wznosił, przeto od rana do nocy i od nocy do rana była polem popisu dla najrozmaitszych owadów i istot pełzających, które, zwłaszcza w nocy wyprawiały sobie istne orgie, nie wiele na mnie zwracając uwagi.

Najbardziej wszakże dokuczały mi szczury ich bezczelna odwaga przechodziła wszelkie granice. Nie tylko bowiem gryzły wszystko, czego tylko dopaść mogły, lecz posuwały śmiałość swoją do tego stopnia, iż biegając mi pod nosem prawie, wywracały szklanki a raz nawet wywróciły lampę, przy której czytałem. Pewnej nocy dobrały się do szafy a gryząc ją i tłukąc się między sobą napełniały całe mieszkanie takim piskiem i hałasem, iż o zaśnięciu i mowy nie było. Zniecierpliwiony do najwyższego postanowiłem pozbyć się nieproszonych gości. Zapaliłem więc cały plik niepotrzebnych papierów i włożyłem do szafy. Pewny skutku, wziąłem lampę w jedne rękę, a uzbroiwszy się w potężną laskę stanąłem w pogotowiu. Nie długo czekałem. Po kilku chwilach wyszedł potężny gryzoń i dostał tak silnie kijem po łbie, że zginął natychmiast. Uradowany pomyślnym skutkiem czekałem jego towarzyszy. Zamiast ich, ujrzałem coś takiego, co przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Tuż bowiem przed sobą spostrzegłem brunatną 70 centymetrów długą gadzinę, która zbliżała się ku mnie widocznie z zamiarem zaatakowania moich nóg bosych. W pierwszej chwili przerażenia wykonałem uzbrojoną przeciw szczurom ręką ruch tak nieszczęśliwy, że zamiast w nieprzyjaciela ugodziłem w lampę trzymaną w drugiej ręce, w skutek czego — dziś jeszcze na samo wspomnienie dreszcz mnie przejmuje, — znalazłem się w najkompletniejszém *tete — à tete* z moim niebezpiecznym gościem wśród ciemności egipskich, bo lampa stłuczona, zgasła natychmiast. Przestraszony rzuciłem się co predzej do drzwi i zawołałem o pomoc. Nim nadbiegła, już nieprzyjaciel opuścił haniebnie pole walki a służący odkrył szczelinę w ścianie prowadzącą do drugiego pokoju, gdzie prawdopodobnie nieproszony ten gość zakwaterował. Byłem wówczas mało jeszcze oswojony z wężami; nic więc dziwnego, że już tej nocy nie położyłem się spać i że dopóty szukałem z pomocą służącego owej gadziny, aż ją znalazłem i zabiłem“.

W jednej z izdebek mojego bangalos — opowiada ten sam podróżnik, urządziłem sobie spiżarkę. A ponieważ nie ufałem służbie, złożonej z krajowców, przeto sam do niej chodziłem po potrzebne wiktuały. Pewnego razu chciałem się dostać do próżnej skrzyni, w której wstawiłem kilka butelek wódki. Podjąwszy wieko, spostrzegłem nagle na dnie zwiniętego w kłębek węża. Nie opatrzyłem się jeszcze gdy on wyskoczył szybko na ziemię zajął natychmiast zaczepną pozycję. Przestraszony, cisnąłem w niego flaszką starki, ale chybiłem i dopiero mój służący zadał mu laską cios śmiertelny.

Innym razem spadł mi na głowę wąż z dachu stajni, kiedy zajęty byłem naprawianiem uprzęży mojego wierzchowca. Razu pewnego podjąłem z ziemi garść świeżo skoszonej trawy, aby ją podać koniowi. Nagle uczułem, że coś się rusza w mej ręce. Rzucam trawę i dopiero spostrzegam, że znajdował się w niej wąż, z gatunku najbardziej niebezpiecznych.

Słyszałem nieraz, że znajdowano węże rano pod poduszką, lub pod materacem, chociaż sam tego na sobie nie doświadczyłem; wszelakoż dwa razy miałem przyjemność nocowania z wężem jadowitym w jednym pokoju. Kiedym pewnego dnia siadał do pracy przy biurku, spostrzegłem leżącą przy ścianie kobrię prawie półtora metra długą. Porwałem laskę i zabiłem ją na miejscu. Nie zapomnę jednak nigdy niebezpieczeństwa, od którego mnie uwolniła przezorność mojego służącego. Miał on zwyczaj, podając mi obuwie, szukać ręką, czy nie znajdzie wewnątrz jakiego nieproszonego gościa. Często wyciągał żabę lub jaszczurkę, a mina poważnie-komiczna z jaką to czynił, była nieoszacowaną. Pewnego poranku podał mi długie buty myśliwskie. Szczęściem ale stawiając je przy łóżku, nie zapomniał obrócić ich cholewami do dołu i mocno potrząść. Z jednego z nich wyskoczył wąż z gatunku nader niebezpiecznego Sankorów.

Będąc w Indjach, mówi dalej ten przyrodnik, trudno znaleść miejsca, gdzieby nie było wężów. Pewna znajoma mi dama znalazła kobrę na gzymsie komina swojej sypialni. Ja sam znalazłem raz węża w łapce na myszy. Jeden z oficerów angielskich znalazł kobrę w pudełku, z którego wyjmował swój galowy pióropusz. Jedna ze znajomych mi pań została ukąszoną przez małą żmijkę w chwili, kiedy sięgała po książkę leżącą na biórku.

Słowem, człowiek jest tam otoczony dokoła przez te niebezpieczne gady i ani na chwilę nie może być pewnym swojego życia. Najchętniej wszakże przebywają one w miejscach wilgotnych i cienistych. Osobliwszy pociąg czują do spiżarń i kuchni; najpiękniejsze okazy, które kiedykolwiek widziałem, ubiłem lub zastrzeliłem w kuchni.

Należy jednak dodać, że człowiek posiada w walce z tymi niebezpiecznymi przeciwnikami niejednego sprzymierzeńca. Prócz licznych zwierząt ssących i ptaków, które bez obawy przed ukąszeniem, pożerają łakomie nawet najjadowitsze węże, ostrzega człowieka przed bliskiem niebezpieczeństwem gatunek żaby, na którą węże zapamiętale polują. Napadnięta przez śmiertelnego wroga żaba, wydaje w trwodze szczególny i płaczliwy ton, który wskazuje człowiekowi bliskość wspólnego nieprzyjaciela. „Żaba krzyczy!“ Temi słowami budził mnie nieraz z zamyślenia mój mały chłopak wiedząc, że znajdzie mnie zawsze skorego do niesienia pomocy słabszemu. Jedno uderzenie laską kończyło zwykle walkę śmiercią węża, a uszczęśliwiona żaba wracała szczęśliwie do swojej nory.“

Z Wołynia.

(Dokończenie).

Komandorowie Polacy, większością głosów na sejmie obrani, powinni byli utrzymywanie dwóch chorągwi konnych siły 300 ludzi i regimentu pieszego siły 600 ludzi, na potrzebę rzeczypospolitej. Ale wola fundatora pogwałconą została przez ostatniego władcę ordynacji ks. Janusza Sanguszkę marsz. n. l., który w Kolbuszowie głośną tranzakcją wszystkie dobra różnym osobom alienował i uzyskał w r. 1766. sankcję stanów rzeczypospolitej. Książęta Zasławscy, Lubomirski, a nakońcu Sanguszkowie, władali Ostrogiem na prawach ordynackich. Na mocy tranzakcji kolbuszowskiej, połowa Ostroga z 36 wsiami, dostała się Janowi Małachowskiemu kanc. w. kor. drugą połowę z samym środkiem miasta posiadł Antoni Barnaba ks. Jabłonowski, kaszt. krakowski.

Po nim przeszły te dobra, na boczną linię tego domu, a mianowicie na Karola Jabłonowskiego, później na syna jego również Karola, urodzonego z Tekli Czackiej, który w Dołoczy piękne stado koni hodował; w ostatku na Artura urodzonego w r. 1825 z Pelagii Potockiej. Ten w stanie obłąkania żyje dotąd w zakładzie leczniczym Pirna pod Dreznem, a dziedziczne jego dobra Ostrogskie sprzedane zostały przed kilkunastoma laty sekretarzowi stanu Taniejewowi, który niedawno je odprzedał rodzinie Cesarskiej. Wspomnieć jeszcze należy, że w czasie wielkiej wojny kozackiej w r. 1648. Ostróg zupełnie został zniszczony; uległ on zresztą wtedy losowi wielu innych miast wołyńskich. Tu też zasiadała w roku 1670 komisya koronna, wyznaczona do zawarcia ugody z Piotrem Doroszenką, w czasie następnej zawieruchy kozackiej; ale, jak wiadomo, spełzła na niczem.

Tyle o przeszłości historycznej tego wołyńskiego grodu, choć wczytując się w jego świetną a nieraz groźną przeszłość, daleko więcej dałoby się nam napisać. Spojrzyjmy jednak, jak on obecnie wygląda, i czy choć są ślady jego wojowniczej przeszłości. Oto na samym wjeździe, sterczą mury ogromnego pojezuickiego kolegium. Smutny one przedstawiają widok.

Jest to pobożna fundacja Anny Aloizy z ks. Ostrogskich, małżonki Jana Karola Chodkiewicza wojewody wileńskiego, hetmana wiel. lit. która poległego w r. 1621 w bitwie Chocimskiej swego bohaterskiego męża złożyła tu w okazałym grobowcu. Niezbadane są zaiste wyroki Opatrzności! trudno było zdaje się wymagać trwalszego schronienia dla szczątków narodowego bohatera; a jednak dziś sukcesorowie jego w prostej linii, hr. Karol i Władysław Chodkiewicze, ledwie potrafili uratować czaszkę swego sławnego antenata i złożyć ją w dziedzicznym Młynowie pod Dubnem. Dalej widzimy już tylko nowoczesne budowle, ciągnące się wzdłuż jedynej porządnie wybrukowanej ulicy Dubieńskiej. Tu są zajezdne domy, kramy, składy towarów, i tu się skupia cały handel i ruch Ostroga. Na prawo, na tak zwanej Krasnej Górze, na placu gdzie bywają targi końskie wznosi się nowo pobudowany gmach czyli tak zwane seminarjum dla kształcenia nauczycieli ludowych. Ztąd widać wpół góry jedną ze staroświeckich okrągłych baszt zamkowych, pochodzących z pewnością z XIV-go stulecia; druga taka sama wznosi się jeszcze naprzeciw głównej ulicy, w oddaleniu pewnie wiorstowem, co świadczy dowodnie o ogromie dawnego zamku tutejszego, w którego obrębie znajdowała się prywatna cerkiew książąt ostrogskich. Prześliczne te ruiny z czerwonej cegły w stylu gotyckim, z cudnemi ostrołukowemi oknami i kamiennemi fryzami najczystszego stylu, wznoszą się na urwisku panującem nad rzeką i błoniami,

Przyznać też należy, że kościół i wszystkie budynki bardzo porządnie zostały odrestaurowane, w guście bizantyńskiem. Dalej na górze nowo wzniesione magazyny rządowe i składy artyleryjskie, a dalej jeszcze wysadzona droga pocztowa wiodąca do Dubna. Wśród miasta wznosi się kościół parafialny, nazwany także farnym; sięga on z pewnością XVII-go wieku i do niedawnego jeszcze czasu widzieliśmy go zupełnie zapuszczonym. Teraz, dzięki staraniu i zapobiegliwości miejscowego proboszcza, księdza Krzemińskiego, przybrał on, zewnątrz zupełnie inną postać, i stał się prawdziwą ozdobą Ostroga, który dawniej za świetnych swych czasów tyle świątyń Pańskich posiadał.

W przeciwnej stronie miasta, przez tak nazwaną ulicę Tatarską, osadzoną jak podanie głosi w końcu XV-go wieku jeńcami zabranymi w niewolę przez ks. Konstantyna Ostrogskiego, krymskiej hordy, dojeżdża się do stacyi kolejowej Ożenin. Ulica ta, a raczej przedmieście, nie ma bynajmniej charakteru wschodniego; zatarł się on widać wyraźnie w przeciągu pięciu wieków. Ale droga prowadząca do Ożenina ma za to charakter czysto wołyński, bo w jesieni i na wiosnę bywa nieraz nieprzebytą z powodu ogromnego błota. Wsie zaś, przez które się przejeżdża jak np. Chorów, Brodów i inne, dawniejsza własność Ilińskich, a dziś należące do departamentu apanaży, odznaczają się nadzwyczajną urodzajnością swych rozległych łanów i łąk kośnych. W ogóle, po tej stronie Ostroga, rozpoczyna się pas prześlicznej nadhoryniowej gleby.

Wacław Brozik.

Wiedeń, 30 grudnia.

Publiczność wiedeńska staje dziś z wyrazem niemego zachwytu przed nowymi utworami genialnego i aureolą sławy opromienionego Wacława Brozika. Wystawa artystyczna Sedelmeyera posiadająca w swym zbiorze „Potępienie Jana Hura na konsilium w Konstancji“ i „Krzysztofa Kolumba na dworze Ferdynanda i Izabeli Kastylijskiej“ — zapoznaje Wiedeńczyków z najznaczniejszemi dziełami czeskiego mistrza.

W obydwu tych obrazach uwidocznia się charakter twórczości Brozika. Nie wystarcza dla niego obranie za temat jednego faktu historycznego, któryby jedynie odpowiadał kierunkowi technicznemu artysty i pod tym względem wielkich nie nastręczał mu trudności; tło do swoich arcydzieł wybrera on z takich chwil historycznej przeszłości, które zawierając w sobie donioślejszej wagi zdarzenie, rozświetlają pomrokę wieków. Z obrazów jego przemawia do nas w artystycznej perspektywie umiejętnie pomieszczona całowieczna przeszłość, unosząc myśl daleko po za krańce przedstawionej chwili. I ten to właśnie przymiot nadaje charakterystyczną cechę utworom pędzla malarzy historycznych, a wyróżnia je od utworów rodzajowych. Albowiem nie rozmiary obrazu, lub osoby i kostiumy na nim przedstawione, lecz chwila wśród chaotycznie nagromadzonych faktów mrocznej przeszłości umiejętnie wybrana i jak meteor oświetlająca w perspektywie tysiące innych ściśle z nią spokrewnionych wyników i następstw doniosłości dziejowej, nadaje dziełu artystycznemu piętno wybitnie historyczne.

O ile szczęśliwym był Brozik w wyborze tła historycznego do swoich ostatnich dwóch arcydzieł, wykazują dostatecznie powyżej przytoczone ich tytuły. I rzeczywiście osiągnął artysta w całem tego słowa znaczeniu satysfakcją ze strony podziwiającej jego utwory publiczności. Stanąwszy bowiem przed jego Kolumbem i dworem Ferdynanda, któżby pozostał obojętnym na prawdziwie artystyczne ugrupowanie, na wspaniały koloryt — któżby, zapuściwszy oko w głęboką, ginącą gdzieś daleko perspektywę, nie podziwiał odrębnej, a misternie wykończonej charakterystyki, nie wielbił mistrza za genialny jego utwór?!

Przedstawiona chwila dalekiej jego przeszłości zarysowuje się w kompletnych i dosadnich konturach i spływając w harmonijną całość z technicznemi zaletami wskrzesza przed okiem widza minione wieki i wdraża się trwale w tajniki jego duszy i wyobraźni..

Imię Brozika zapisane dzisiaj jaśniejącemi głoskami w panteonie sławy, — do niedawna zupełnie było nie znanem. Artysta nim zdobył sobie wawrzynu listek, ciężkie staczał walki z przeciwnością losów i „o chlebie i wodzie a często i głodzie“ wydobywał się na wyżyny słusznie przynależnego mu stanowiska. Z okiem stale zwróconem w ideał sztuki, nie profanował jej nigdy — mimo wielkiego nieraz niedostatku — w celach ubocznego zysku, lecz zadawalając się skromnem zaspokojeniem potrzeb ciała, kroczył wytrwale ku wytkniętemu celowi.

Jeszcze przed dwudziestu laty młodziutki wówczas Wacław był w Korike pod Pragą stróżem ogrodu swojego ojca, ślusarza w fabryce Ringhoffera. Nauka nie przypadała mu do smaku; wolał przebywać w ogrodzie, gdzie swobodnie mógł się oddać ulubionym swoim zajęciom: rysowaniem kredą, węglem, ołówkiem lub modelowaniu z gliny fantastycznych figurek. Wspomnienia tych czasów stanowiły tło do jego późniejszego obrazu „Rodzina miotlarzy“, o którego losach sam twórca nigdy się nie dowiedział.

Dwa lata upłynęły młodemu Wacławowi na owem życiu bez celu. Ojca niepokoiła jego bezczynność, pragnął go koniecznie nagiąć do pracy i wyuczyć go jakiegoś rzemiosła. Lecz chłopiec, pobywszy zaledwie cztery tygodnie w fabryce porcelany, wrócił zniechęcony do... pilnowania owoców, do ołówka i do gliny, której niewyczerpany zasób znajdował w okolicznych cegielniach. Drobne jego utwory rozchodziły się jednakże po okolicy i wzbudzały podziw dla samorodnego artysty. Fama o nim doszła po pewnym upływie czasu do uszu kierownika praskiej akademji, profesora Trenkwalda, który poznawszy talent młodego Wacława, wziął go w swą opiekę i oddał na razie do prywatnego zakładu, gdzie Brozik początki nauki rysunków pobierał.

Już w r. 1868 wstąpił w podwoje akademji sztuk pięknych, która od tak dawna była celem najgoretszych jego marzeń. Dziesięć lat pracy, rojeń o świetnej przyszłości i bolesnych rozczarowań przy nieróżowych stosunkach bytu materyalnego szybko minęły. Stanął wreszcie o własnej sile na szerokiej widowni świata; cel i drogę miał wytkniętą, lecz pochód na niej wśród mroźnego przeciwności wichru stawał się coraz więcej uciążliwym. Wszakże tak trudno w świecie o uznanie dla utworów początkującego artysty! Kilku „mecenasów“ zajęło się w prawdzie na chwilę losem młodego malarza, zawsze jednakże jakiś nadzwyczajny wypadek — śmierć, ruina majątku lub wreszcie złośliwość innych ludzi, pozbawiała jego ożywczej ich opieki. Często zaś zmuszony był odrzucać podawaną pomoc materjalną, gdyż do ofiarowanych mu pieniędzy dołączano warunki, które tamowały wolny ruch skrzydeł jego geniusza.

Mimo ustawicznych rozczarowań nie upadał na duchu i nie ustawał w mozolnej pracy. Że zaś nadzwyczaj był skromnym w potrzebach swoich i starał się tylko o zaspokojenie najniezbędniejszych, nie wiele przeto poświęcał czasu na drobne prace zarobkowe, ale za to oddawał się wyłącznie utworom większych rozmiarów i poważnej treści historycznej.

Wśród dokuczliwych kłopotów natury finansowej powstała „Ewa Lobkowitz odwiedzająca ojca w więzieniu“, który to utwór 20-letniemu, małoznanemu dotąd artyście, pewne zjednał uznanie. Jakaż radość opanowała jego serce, gdy ujrzał się w posiadaniu znaczniejszej kwoty, wręczonej mu przez miejscowe Towarzystwo miłośników sztuki, które zakupiło ten pierwszy płód jego talentu i wytrwałej pracy!

Mógł teraz przystąpić do urzeczywistnienia w tajnikach duszy żywionych marzeń. Miasta gromadzące w swych murach nieocenione skarby sztuki od tak dawna podniecały jego wyobraźnię i nęciły ku sobie. Kwota jednakże za pierwszą pracę zyskana nie mogła ani w jednej części zaspokoić gorących jego pragnień, nie wystarczała nawet na podróż nad uroczе brzegi Tybru, do starożytnej Cezarów stolicy. Pojechał przeto do Drezna.

Lecz i tu brzemię życia w uciążliwej walce o byt znośniejszem nie było. W ciemnej i nizkiej izdebce pozbawiony najniezbędniejszych sprzętów i malarskich utenzyliów, powstał nowy obraz: „Pochód weselny Zarysa i Kunegundy, wdowy po królu Czech, Przemysławie Otokarze II.“. Kopje z Rembrandta, sprzedawane po talarze za sztukę, dostarczały w trakcie tego nader skąpej strawy i opłacały nędzne pomieszkanie.

Obraz ten zawieszony na wystawie praskiej zwrócił przedewszystkiem cennemi zaletami kolorytu ogólną uwagę na młodego twórcę. Niemniejsze uznanie zjednała mu wkrótce potem wykonana „Filipina Welser“. Zdobył więc imię, lecz to samo przez się nie zdołało zażegnać dotychczasowej nędzy. Powrót do Pragi, dokąd go usilnie wzywano, nie przyniósł również pomyślniejszego zwrotu w finansowych jego stosunkach, o tyle wszakże wpłynął na dalsze jego losy, iż Brozik narysowawszy ten szkic do obrazu „Pożegnanie Przemysława Oktawa II. z rodziną przed wyruszeniem na pole bitwy“ poznał, iż niezupełnie dorósł do tak wielkiej pracy i udał się wprost do Piloty'ego, aby pod okiem mistrza zwiększyć zasób fachowej wiedzy. Dwuletni pobyt w Moguncyi nie zawiódł jego oczekiwań; rozszerzywszy bowiem zakres zawodowych wiadomości, wykończył rozpoczęte w Pradze „Pożegnanie Przemysława Oktawa II.“, a w rok potem wystąpił z „Zaślubinami króla duńskiego Waldemara II. z Dagmarą, księżniczką czeską“.

Zaprzyjaźniony z Andriollim — który właśnie w tym czasie dla Dorego pracował — pojechał na kilka dni do Paryża, aby odwiedzić przyjaciela. Krótki pobyt w stolicy nadsekwańskiej oczarował umysł młodego artysty do tego stopnia, iż nie odwołalnie postanowił stale się w Paryż uosiedlić.

W tym zamiarze wrócił pospiesznie do Moguncyi, lecz „krach“ wiedeński tak sparaliżował ogólny ruch pieniężny, że i jego obliczenia spełzły chwilowo na niczem. Wezwany przez jednego z czeskich magnatów, pojechał do Pragi i rozpoczął tam cały szereg obstalunkowych malowideł. Lecz i tu ścigał go jakiś fatalizm. Połowa obrazków była już na ukończeniu, gdy przyszłego ich właściciela napadła chęć podróży naokoło świata. Pojechał, a z nim ubiegła nadzieja możliwości upragnionego osiedlenia się w Paryżu.

Dopiero w Grudniu r. 1876 ofiarował mu pewien bogaty miłośnik sztuki znaczną stosunkowo kwotę, z nadmienieniem, iż przeznacza dla niego kwartalnego subsydium 400 franków, aż do czasu, w którym sobie Brozik cokolwiek dostatnią w Paryżu zapewni egzystencją.

Stanął wreszcie na tem międzynarodowem polu wszelkiego popisu — chciał walczyć i zwyciężyć, a każdy dzień nowy nowem mu groził nędzy widmem, gdyż skutkiem śmierci owego mecenasa nie dopisała już pierwsza kwartalna kwota przyrzeczonej pomocy. Paryż jest punktem zbornym wszystkich znakomitości, lecz jakże strasznym jest dla tych, którzy jak Brozik — bez pieniędzy, bez znajomości języka, wymawiając jeszcze nieśmiało swoje nazwisko, znaleźć nie mogą odbiorców na produkta swej myśli i talentu. Mimo to nie upadł na duchu; zabrał się zaraz do pracy, a z pod twórczego pędzla wyszedł mniejszych rozmiarów obraz historyczny z czasów wojen husyckich „Ofiary fanatyzmu“ i posłał wraz z „Zaślubinami Waldemara II. z Dagmarą“ na wystawę do *Palais de l' industrie.* Obrazy przyjęto i znaleziono je... „nie zbyt złemi“.

Położenie Brozika stawało się tymczasem rozpaczliwem!

Nie uległ jednakże zniechęceniu. Zaopatrzony przez jednego z przyjaciół w mały zasiłek pieniężny zabrał się do nowej pracy... na następną wystawę. Pracownię urządził sobie w jakiejś wozowni, farby zdołał wydostać na kredyt i — co trudnem prawie do uwierzenia — postarał się rzecz najwięcej kosztowną dla malarza, o modele, zwabiwszy je obietnicą... udziału w przyszłych zyskach. Tło wyjął i tą razą z ojczystej historji czeskiej. Studja wstępne zaczerpnął z dzieł z Palazky'ego i z *„Histoire des Duis de Bourgogne“* De Braнter'a.

Przyjaciele i znajomi usiłowali wszelkiemi siłami odwieść go od powziętego zamiaru, a w końcu uznali go za szaleńca, iż odważa się z próżną kieszenią i do tego w Paryżu przystąpić do tytanicznej pracy. Brozik zrazić się nie dał. Na pięciometrowem płótnie wyrastał już szkic „Dniewosłębów Władysława, króla Czech i Węgier na dworze francuskiego Karola VII“. Płótno promieniało coraz piękniejszym doborem farb, przeszłość wskrzeszona pędzlem mistrza w coraz wyrazistszej przedstawiała się formie, aż nareszcie myśl artysty, ujęta w wdzięczne kształty kilkunastu postaci wystąpiła w całej pełni. Obraz był na czas ukończonym i na wystawę (1878) przyjętym.

Od tej chwili upłynęło w marzeniach i niepewnem oczekiwaniu kilka tygodni w oceanie niepowrotnej wieczności; a ponieważ wszystko się zaciera z biegiem czasu, więc i Brozik przestał śnić o ulubionem swojem dziecięciu w wozowni zrodzonem. Zmęczony zasiadł do więcej niż skromnego posiłku w restauracji, która nie miała pretensji być zaliczoną do pierwszorzędnych tego rodzaju instytucyj i rozmyślał nad planem... nowego obrazu. Jeden z malarzy, którzy najliczniej odwiedzali rzeczony lokal, siedział obok naszego artysty i przebiegał oczyma całe szeregi liter jednego z miejscowych dzienników. Nagle powstał, a wyciągnąwszy dłoń w stronę Brozika, zawołał:

— Winszuję panu! winszuję z całego serca!

— Czegoż mi pan winszuje? zapytał zdziwiony.

— Medalu drugiej klasy! odparł żywo i podsunął niemal pod same oczy artysty trzymaną w ręku gazetę.

Rzecz to niesłychana, aby obcokrajowiec już w drugim roku działalności swej w Paryżu z pominięciem wszystkich innych stopniowych odznaczeń, otrzymywał drugi medal. Nie dowierzając własnym oczom, odczytywał upojony radością artysta zaszczytną dla siebie wiadomość po razy kilka, aż przekonany o jej rzeczywistości, uczuł potrzebę zaczerpnięcia świeżego powietrza. Przybył do mieszkania, gdzie go nowa czekała niespodzianka. Pan Sedelmeyer prosił go listownie o chwilę rozmowy, pragnąc nabyć obraz na wystawie premiowany.

Opanowawszy wzruszenie, wywołane nadmiarem radości udał się do Sedelmayera, rozmyślając już po drodze o oznaczeniu ceny. Jakież było jednakże jego zadziwienie, gdy wspomniony właściciel salonu sztuk pięknych po powitaniu w te odezwał się słowa:

— Czy zechcesz pan sprzedać swój obraz? Dałbym za niego 10 tysięcy franków, a oprócz tego za rewodukcją - jeżeli się pan na nią zgodzisz — 6 tysięcy.

Wśród najdalej idących rojeń nie zamarzył Brozik nigdy o takiej sumie za swoje utwory.

Był więc u celu, był niezawisłym, mógł żyć jedynie dla sztuki, mógł tworzyć co chciał i ile chciał!!

Lecz równie jak nie upadł pod brzemieniem ciężkich doświadczeń, tak i pomyślna zmiana zewnętrznych jego stosunków nie zdołała wyprzeć zasad na bolesnej drodze życia uszczkniętych, nie zdołała osłabić zamiłowania do pracy poważnej. „Partja szachów“, Śpiewak balad“, „Uczta u Rubensa“, Petrarka i Laura na dworze w Awignonie“, „Cesarz Rudolf II. u swego alchemisty“ i owe trzy obrazy al fresco w salonie dworskim narodowego teatru praskiego, oraz powyżej wspomniany „Jan Hus“ i „Krzysztof Kolumb“, oto płody twórczej jego działalności, odkąd zajął miejsce w świątyni Sławy.